

PRASÓWKA SPRZED LAT

LOS DZIECI POLSKICH

W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

na podstawie *DZIENNIKA POLSKIEGO* i *DZIENNIKA ŻOŁNIERZA*
ze zbiorów
Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie



Polskie dzieci-uchodźcy i sieroty wojenne w Balachadi w Indiach, 1941 (WIKIPEDIA)

Wybrane artykuły ukazują sytuację dzieci w okupowanej Polsce, jak również tych, które zostały wywiezione na przymusowe roboty do III Rzeszy. Opowiadają o dzieciach-zesłańcach i o dzieciach-uchodźcach, ewakuowanych do najdalszych zakątków świata. Zarówno o tych, które już w czasie wojny zaczęły odzyskiwać utracone dzieciństwo, jak i o tych, którym dzieciństwa nie zwrócono już nigdy. Przypominają również o tysiącach młodych Polaków, którym nie udało się wraz z Wojskiem Polskim opuścić terenów ZSRR.

Wszystkie zaprezentowane materiały opublikowane zostały w latach 1943-1945 na łamach *Dziennika Polskiego* i *Dziennika Żołnierza* (do 1 stycznia 1944 *Dziennika Polskiego*).

Oprac. Agata Rola-Bruni



12 stycznia 1943 r.

W 1914 – BELGIA, OBECNIE – POLSKA

LOS DZIECI POLSKICH

PRZYSZŁY z Warszawy znów wiadomości, że okupanci nie wahają się popełnić zbrodni nawet na dzieciach polskich, uprowadzając je w celu pobierania z nich krwi, potrzebnej dla tysięcy rannych żołnierzy niemieckich.

Piszemy „znów”, gdyż, jak nasi czytelnicy przypominają sobie, analogiczne wypadki miały miejsce w 1940 roku podczas i po kampanji francuskiej oraz w 1941 roku na początku kampanji wschodniej. Wówczas to, podobnie jak obecnie, ginęły w Polsce dzieci, przeważnie w wieku 7-12 lat. Z licznych listów, przenikających z Kraju dowiadaliśmy się o wypadkach odnajdywania dzieci, wypompowanych z krwi, wyczerpanych fizycznie do ostatnich granic, które częściej umierały niż przychodziły do zdrowia.

Nikt nie może wątpić, że Niemcy, stosując tę jedną z najokrutniejszych zbrodni, na jaką mógł zdobyć się kiedykolwiek człowiek, osiągają za jednym zamachem dwa cele: po pierwsze - ratują swoich konających żołnierzy drogą transfuzji krwi, a po drugie – niszcząc najmłodsze pokolenie polskie, zabezpieczają się przed niekorzystną dla siebie różnicą w rozwoju nowej generacji. Być może, że ten drugi cel jest w danym wypadku mniej ważny niż pierwszy, polegający na doraźnym ratowaniu żołnierzy niemieckich, ale nie mniej, jest poważnie brany pod uwagę.

Teraz z kolei nasuwa się pytanie: *czy ta nikczemna, wyrafinowana myśl zbrodnicza mogła się zrodzić jedynie w umysłach dzisiejszych Niemców, których hitleryzm nauczył być rabusiami, zwierzętami i sadystami?* I równolegle z tym pytaniem wyłania się jeszcze jedno ostrzeżenie pod adresem tych dziwnych iluzjonistów, wierzących jeszcze w istnienie t.zw. „dobrych Niemców”. Bowiem

to, co dzieje się obecnie w Polsce, ma już swoje wypróbowane wzory z czasów poprzedniej wojny.

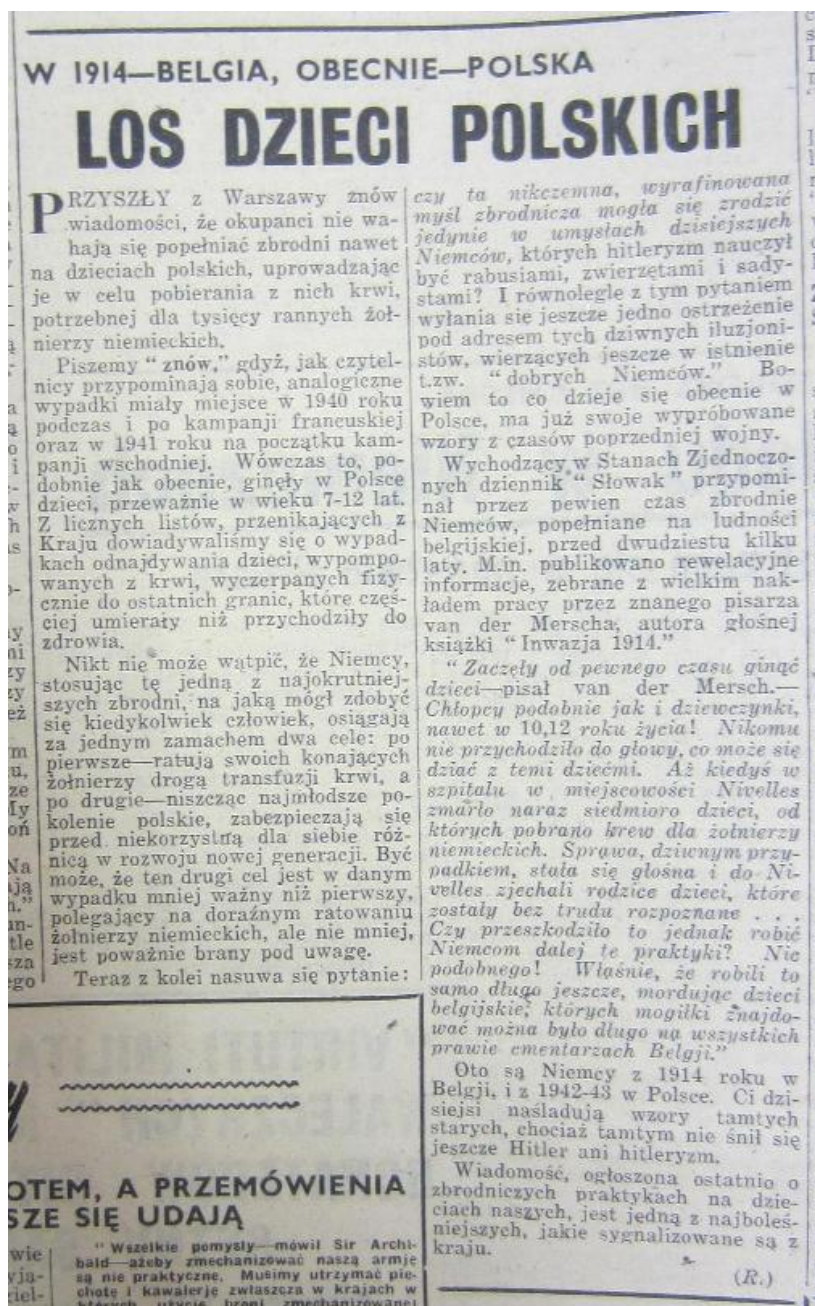
Wychodzący w Stanach Zjednoczonych dziennik „Słowak” przypominał przez pewien czas zbrodnie Niemców, popełniane na ludności belgijskiej, przed dwudziestu kilku laty. M.in. publikowano rewelacyjne informacje, zebrane z wielkim nakładem pracy przez znanego pisarza van der Merscha, autora głośnej książki „Inwazja 1914.”

„Zaczęły od pewnego czasu ginąć dzieci – pisał van der Mersch. - Chłopcy podobnie jak i dziewczynki, nawet w 10, 12 roku życia! Nikomu nie przychodziło do głowy, co może się dzieć z temi dziećmi. Aż kiedyś w szpitalu w miejscowości Nivelles zmarło naraz siedmioro dzieci, od których pobrano krew dla żołnierzy niemieckich. Sprawa, dziwnym przypadkiem, stała się głośna i do Nivelles zjechali rodzice dzieci, które zostały bez trudu rozpoznane... Czy przeszkodziło to jednak robić Niemcom dalej te praktyki? Nic podobnego! Właśnie, że robili to samo długo jeszcze, mordując dzieci belgijskie, których mogiłki znajdować można było długo na wszystkich prawie cmentarzach Belgji.”

Oto są Niemcy z 1914 roku w Belgji, i z 1942-43 w Polsce. Ci dzisiejsi naśladują wzory tamtych starych, chociaż tamtym nie śnił się jeszcze Hitler ani hitleryzm.

Wiadomość, ogłoszona ostatnio o zbrodniczych praktykach na dzieciach naszych, jest jedną z najboleśniejszych, jakie sygnalizowane są z kraju.

(R.)



22 stycznia 1943 r.

NA SZLAKACH WĘDRÓWKI

42,000 POLAKÓW Z ROSJI

przybyło dotychczas do Persji

Z ROSJI do Persji przybyło dotychczas 42.165 osób, z tego ok. 10,000 ewakuowano do Tanganyiki i Ugandy, a ok. 6,000 do Palestyny (Przysposobienie Wojskowe Kobiet i Junacy). Szybkie rozładowanie pozostałych

w Persji uchodźców stało się poważną troską Ministerstwa Opieki Społecznej, a to z następujących powodów:

1. W Persji brak odpowiednich pomieszczeń dla 23,000 osób, szczególnie w okresie zimowym. Budynki koszarowe mieszczą jedynie 13,000 osób. Pozostałych musiano umieścić w namiotach. Na szczęście zima w Persji jest łagodna, poza tym we wszystkich namiotach umieszczono piecyki naftowe. Ogólnie jednak warunki mieszkaniowe są trudne.

2. Ciężka sytuacja żywnościowa zmusiła ostatnio władze perskie do ograniczenia racyj żywnościowych dla obozów a dowóz jest szalenie utrudniony. Bardzo poważna jest także sytuacja odzieżowa, gdyż w Persji nie można kupić odzieży a zamówione przez Ministerstwo Pracy transporty w Indiach dotychczas nie nadeszły. Na szczęście zapasy darów Polonii Amerykańskiej narazie trudności te rozwiązały.

3. Warunki klimatyczne nie są odpowiednie dla kobiet i dzieci, które stanowią ogromną większość uchodźców.

Rozwiązanie zagadnienia dalszej ewakuacji napotkało jednak na ogromne trudności, przede wszystkim ze względów transportowych, a następnie musiały być uwzględnione także warunki klimatyczne i zdrowotne. Władzom polskim udało się jednak wszystkie te trudności pokonać. Przede wszystkim na skutek starań Ministerstwa Pracy Rząd Indyjski zgodził się przyjąć 11,000 dzieci wraz z matkami. W ten sposób uniknie się rozłączenia matek od dzieci, a z drugiej strony dzieci w Indiach znajdą względnie dobre warunki pobytu. Rząd Polski udzielił rządowi indyjskiemu gwarancji pokrycia kosztów inwestycji, urządzenia i utrzymania dzieci z własnych funduszy. Przygotowania do nowej wędrówki dzieci są już na ukończeniu i prawdopodobnie już w 3-ej dekadzie stycznia pierwsze transporty wyjadą do Indii.

Obecnie finalizowane są rokowania w sprawie umieszczenia 8 tysięcy uchodźców w Kenji na zorganizowanych polskich fermach rolnych. 3,500 uchodźców wyjedzie do Rodezji Płn., Rodezji Połd. i Nyasaland. Ponadto 500 dzieci ma być skierowanych do Unji Płd. Afrykańskiej. W ten sposób wszyscy nasi uchodźcy będą w najbliższym czasie stopniowo ewakuowani z Persji i urządzeni w możliwie najlepszych warunkach na okres wojny.



Najmłodsza orkiestra ułańska Armji Polskiej na Wschodzie

Najmłodsza orkiestra ułańska Armji Polskiej na Wschodzie

13 lutego 1943 r.

Masowa deportacja dzieci do Rzeszy

W czasie ostatnich masowych wysiedlań ludności polskiej z terenów wschodniej i centralnej Polski, Niemcy oddzielali dzieci od rodziców i masowo wywozili je do Rzeszy.

Ostatnie wiadomości z Polski donoszą, że transporty takie odeszły z Zamościa, Białegostoku, Chełma i Garwolina.

Dzieci, których rodzice padli ofiarą ostatnich masowych aresztowań w Krakowie, zostały również załadowane do specjalnego pociągu i wywiezione do Niemiec.

Niemcy wywożą w ten sposób dzieci poniżej lat 12 z zamiarem całkowitego zgermanizowania ich.

15 lutego 1943 r.

WOJNA Z DZIEĆMI

W POPRZEDNIM numerze „Dziennika” podaliśmy depezę PAT’a stwierdzającą, że ofiarami brutalnej eksterminacji narodu polskiego padają teraz z kolei, dzieci.

Z krótkiej, lakonicznie skonstruowanej wiadomości, dowiedzieliśmy się, że w czasie ostatnich masowych wysiedleń ludności polskiej z terenu wschodniej i centralnej Polski, okupanci oddzielali dzieci od rodziców i wywozili je do Niemiec w osobnych wagonach. Transporty dzieci – wedle tej informacji – miały odejść z Zamościa, Białegostoku, Chełma i Garwolina. Ten sam los spotyka dzieci rodziców aresztowanych, które, jak np. z Krakowa wywiezione były w specjalnych dużych transportach. Granicą wieku dzieci, nad którymi rozpostarły się skrzydła „opieki” najeźdźcy – ma być 12 lat.

W ciągu tych 40 miesięcy ponurej okupacji, Niemcy dokonali w Polsce niewątpliwie więcej spustoszeń i wymordowali więcej ludzi, niż wszyscy trzej okupanci razem byli w stanie zrobić w ciągu 120 letniej niewoli Rzeczypospolitej. Okrutnością swoją dzisiejsi Niemcy prześcignęli nie tylko najokrutniejszych władców panoszących się kiedykolwiek w naszym kraju, ale i prawdopodobnie wszystkich tyranów jakich kiedykolwiek ziemia wydała.

Nie ma dzisiaj w Polsce dnia bez wiadomości o jakiejś masowej zbrodni. W tym morzu krwi i łez giną nieprawdopodobne ilości ludzi wszystkich warstw społecznych.

O zbrodniach dokonywanych na dzieciach polskich piszemy nie pierwszy raz. Nie pierwszy bowiem raz dzieci polskie znajdują się pod obstrzałem krwawych oprawców. Zaledwie kilka tygodni temu głośnym echem rozeszły się wiadomości o masowych obławach dzieci w celu pobierania z nich krwi dla rannych żołdaków niemieckich. Dowiedzieliśmy się wówczas, że od dłuższego już czasu dzieci polskie ginęły w Warszawie, w innych miastach Polski i że często krew wypompowywano w takich ilościach, że po kilku dniach dziecko umierało.

Tragiczny los dzieci naszych pozostawiony bandyckiej samowoli tyranów niemieckich jest dla nas niestłuchanie bolesny. Cała bowiem akcja okupantów na tym odcinku ma perfidny głęboki cel polityczny. Wiadomości na ten temat nie mogą być traktowane jako przypadkowe zbrodnie. Wojna z dziećmi polskimi – to wojna z przyszłością narodu polskiego. To głęboko przemyślany daleko sięgający plan eksterminacji.

Ta wojna – wojna z dziećmi naszymi – toczy się zresztą niemal od początku okupacji. Obecnie przybrała tylko charakter „Blitzkriegu”.

Oto kilka przykładów:

W roku 1939 w szkołach powszechnych w Polsce uczyło się ok. 5 milionów dzieci; obecnie uczy się w szkołach z językiem polskim (według danych Krakauer Zeitung z września 1942 r.) 670 tysięcy dzieci.

Od pierwszych niemal chwil okupacji dzieci polskie są wybitnie upośledzone w przydziale środków spożywczych, m.i. mleka.

Trzecim wreszcie przykładem jest katastrofalna śmiertelność dzieci wskutek epidemii i chorób, śmiertelność wzrastająca w miarę trwania okupacji.

Ostatnie fakty wywożenia dzieci polskich do Niemiec demaskują już całkowicie zamiary okupantów. Akcja ta jest zorganizowana i nie pochodzi z inicjatywy jakiegoś jednego gubernatora. Jak bowiem podawał PAT – transporty z dziećmi odeszły z miast należących do 4 dystryktów. A zatem inicjatywa pochodzi od czynników najwyższych.

Na niemiecką wojnę z dziećmi polskimi winniśmy odpowiedzieć – jeżeli nie można narazie inaczej – jaknajgłośniejszą, światową manifestacją protestacyjną.

(Wi.)

16 lutego 1943 r.

Zosia z Tanganyiki pisze

LIST DO TATUSIA

Od 13-letniej Zosi, która mieszka w jednym z osiedli w Tanganyice dostaliśmy list pisany do tatusia, który jest w wojsku, z prośbą o przesłanie. Zosia nie podaje dokładnego nazwiska swego ojca, więc podajemy go do wiadomości wszystkich, ojców, których córeczki Zosie są w Afryce – w nadziei, że list ten dojdzie do rąk tatusia małej Zosi.

Kochany Tatusiu!

Dawno już nie miałeś odemnie wiadomości i pewnie Ci smutno, że na Gwiazdkę nie byłam z Tobą, żeby Ci zaśpiewać przy drzewku kolendy. Piszę do Ciebie i nie wiem kiedy ten list dojdzie, ale chciałabym żebyś wiedział jak my tu żyjemy i jaką mieliśmy tu gwiazdkę.

Jest tu nas bardzo dużo dzieci – są takie które nie mają ani mamy ani tatusia i pewnie nie zobaczą ich nigdy – a jak pytają do kogo ja piszę a ja powiedziałam że do mego Tatusia, to się popłakały. Naprzód Ci napiszę jak mieszkamy. Mamy domki, jak na tej fotografii okrągłe i pokryte słomą, jak u nas na wsi. W domku mieszkamy w cztery dziewczynki razem. Ja jestem najstarsza i wszystkie mnie muszą słuchać. Szkoła nasza nazywa się „sierocińcem”, bo my tu same. Nauczycielki bardzo są dobre i kochają nas. Powiedziały, że za to, że jesteśmy grzeczne będziemy mieli gwiazdkę i drzewko.

Na Wilję każda szkoła dostała drzewko z lasu podobne do naszego smreczka ale trochę inne. Jak dziewczynki zobaczyły drzewko, to pytały gdzie jest śnieg. A tu śniegu niema, bo wszędzie jest zielono i wiosna, kwiatki wszędzie kwitną i niebo jest niebieskie. Pod drzewkiem – jak tylko nasza szkoła przysłała przed wieczorem było dużo różnych zabawek. Ewka Z. była ubrana za aniołka ze skrzydłami. Naprzód powiedziała śliczny wierszyk do dzieci – a potem mówił do nas konsul który przyjechał do nas na gwiazdkę i ksiądz który tu z nami mieszka.

Małe dzieci całkiem nie pamiętały co to jest gwiazdka, ale ja pamiętałam chociaż przez trzy lata nie miałam drzewka. Kiedy odśpiewaliśmy kolendy, nauczycielki rozdały nam zabawki i podarki. Ja dostałam buciki nowe, dwie chusteczki, druty do robienia sweterka i wełnę. Już nawet zaczęłam robić szalik dla Ciebie, żeby Tatusiowi nie było zimno. Wszystkie zabawki przysłały panie Angielki, które chciały nam przypomnieć święta w Polsce. Mówili mi o jednej pani, która sama zrobiła sto lalek dla małych dzieci i przysłała do nas do Osiedla.

Po kolendach nauczycielki postawiły na polu duże stoły przykryte białym obrusem a na stołach było dużo ciastek, pierników i tortów dla wszystkich dzieci. Jak się zrobiło ciemno, zaczęliśmy znowu pod drzewkiem śpiewać kolendy i poszliśmy spać jak już było całkiem ciemno i każde ze swoimi zabawkami. Długo nie mogłam zasnąć i mówiłam z dziećmi z którymi śpię w jednym domku że jak wrócimy do kraju to co roku będziemy mieli takie dobre święta.

Posyłam Ci kilka fotografii. Na tej jednej gdzie jest dużo dzieci, ja stoję z boku koło małego chłopczyka; napisz czy mnie poznajesz i czy urosłam.

W drugim liście napiszę Ci jak tu się uczymy, co robimy, a teraz Kochany Tatusiu całuję Ciebie i życzę żebyś nam prędko wywojował powrót do domu. Ale

przedtem przyjedź do nas na urlop, żebyś zobaczył jak tu ładnie, a pokażę Ci duży Giewont który od nas widać i nazywa się Kilimandżaro.

Twoja kochająca córka. ZOSIA.

6 marca 1943 r.

POLACY W ŚWIECIE

Z ROSJI DO PALESTYNY

przybyło 735 dzieci żydowskich i 360 obywateli polskich

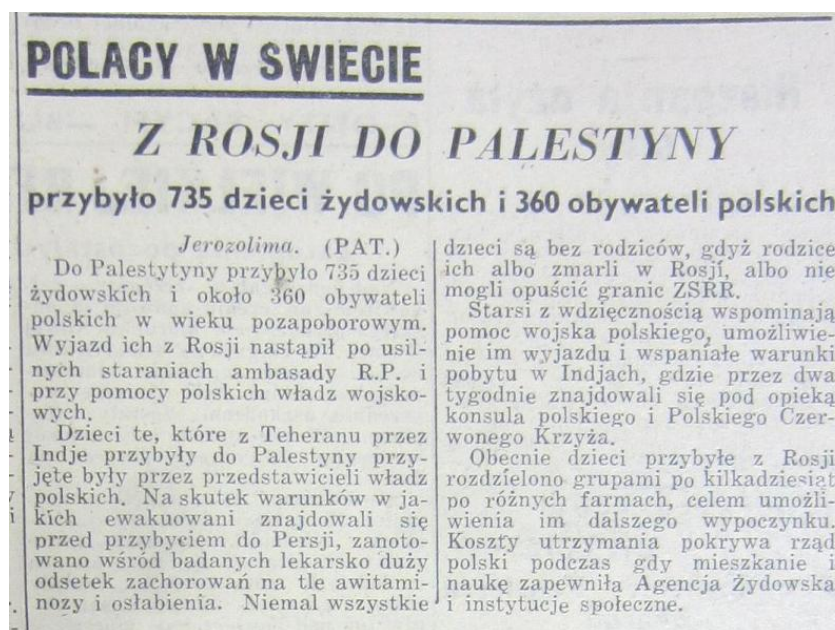
Jerozolima. (PAT.)

Do Palestyny przybyło 735 dzieci żydowskich i około 360 obywateli polskich w wieku pozapoborowym. Wyjazd ich z Rosji nastąpił po usilnych staraniach ambasady R.P. i przy pomocy polskich władz wojskowych.

Dzieci te, które z Teheranu przez Indje przybyły do Palestyny przyjęte były przez przedstawicieli władz polskich. Na skutek warunków w jakich ewakuowani znajdowali się przed przybyciem do Persji, zanotowano wśród badanych lekarsko duży odsetek zachorowań na tle awitaminozy i osłabienia. Niemal wszystkie dzieci są bez rodziców, gdyż rodzice ich albo zmarli w Rosji, albo nie mogli opuścić granic ZSRR.

Strasi z wdzięcznością wspominają pomoc wojska polskiego, umożliwienie im wyjazdu i wspaniałe warunki pobytu w Indjach, gdzie przez dwa tygodnie znajdowali się pod opieką konsula polskiego i Polskiego Czerwonego Krzyża.

Obecnie dzieci przybyłe z Rosji rozdzielono grupami po kilkadziesiąt po różnych farmach, celem umożliwienia im dalszego wypoczynku. Koszty utrzymania pokrywa rząd polski podczas gdy mieszkanie i naukę zapewniła Agencja Żydowska i instytucje społeczne.



Z przemówienia płk. Mitchella **Rodezja, Uganda, Tanganyika przygarniają** **bezdomych Polaków**

PUŁK. HAROLD MITCHELL, członek Parlamentu, wiceprzewodniczący Partii Konserwatywnej oraz przewodniczący British Committee for Polish Welfare przemawiając w sobotę 27 lutego e Hendon mówił m.in. o swej podróży na Środkowy Wschód. Głównym celem podróży pułk. Mitchella było zbadanie umieszczenia w Afryce jak największej ilości polskich uchodźców z Persji.

„Miałem okazję przekonania się – mówił pułk. Mitchell – o wielkiej gotowości z jaką rządy Rodezji, Ugandy, Tanganyiki oraz Kenji starają się ulżyć losowi bezdomnych Polaków. Wysiłki jakie robią w tym kierunku są tym bardziej godne uznania gdy się bierze pod uwagę stosunkowo niewielką liczbę ludności białej, osiadłej w tych okolicach.

Jeden z ośrodków dokąd skierowano Polaków znajduje się w Masindi (Uganda). Obóz położony jest na stoku wzniesienia skąd roztacza się widok na łańcuch górski. Wykarczowano sporo lasu i na skraju zbudowano szereg chat. Większą część ludności osiedla stanowią kobiety i dzieci, które już zdołały zabrać się do pracy w ogródkach. Młodzież uczy się na powietrzu. Osiedle składa się z 500 uchodźców. Na sąsiednich wzgórzach karczkuje się las i stawia

pomieszczenia, które mają dać schronienie 2500 osób. Oprócz tego Uganda zaofiarowała się przyjęć jeszcze dalszych 2500.



8 kwietnia 1943 r.

NASZE ŻYCIE W TAJEMNICZEJ DŻUNGLI

Czego dowiadujemy się z czasopisma „Polak w Afryce”?
(fragmenty)

DOTARŁ do naszych rąk pierwszy numer „Polaka w Afryce” – dwutygodnika poświęconego sprawom uchodźstwa polskiego w Afryce, wydawanego przez Delegaturę Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Nairobi. Numer nosi datę niedzieli 14-go marca 1943.

Będziemy mieli niewątpliwie okazję szerzej omówić ten numer, będący dalszym dokumentem dróg polskiego uchodźstwa. Dziś ograniczymy się do zasygnalizowania szeregu zawartych w nim danych na temat warunków życia naszych rodaków w Afryce.

Od razu na pierwszej stronie na warunki te rzuca światło wybite grubymi czcionkami ostrzeżenie:

Nie lekceważcie afrykańskiego słońca! Nakrywajcie głowy! Noszenie hełmu lub kapelusza jest koniecznością. (...)

Dwutygodnik poświęca dużo miejsca **organizacji szkolnictwa**. Dowiadujemy się więc o uruchomieniu we wszystkich osiedlach szkół powszechnych, a w osiedlu Misindi również 2 klas gimnazjum.

W osiedlach daje się odczuć brak specjalnych budynków szkolnych. **Nauczanie jest ogromnie utrudnione z powodu zupełnego braku podręczników. Sygnalizowany jest jednak transport z Jerozolimy podręczników i innych pomocy szkolnych.**

O odczuciach wygnańców polskich mówi taki oto urywek z korespondencji z jednego z obozów w formie listu do Tatusia:

„**Treścią naszego życia tutaj jest tęsknota**. I rzecz dziwna, gdy troska o byt, która wypełniała nam lata naszego wygnania, tutaj odpadła zupełnie – ta tęsknota żre nas jeszcze bardziej. Każdy za kimś tęskni. A wszyscy tęsknią za jednym – czyż potrzebuję ci pisać za czem. ... Ty rozumiesz.”

W innym zaś miejscu listu:

„Ślady dzikości są tu wszędzie. Drzewa, które pozostawiono pomiędzy naszymi chatami dla cienia, mają korę otartą przez słońce. Nocami dżungla gra tajemniczą, dziwną muzyką. Ale samo osiedle, zwłaszcza w zagospodarowanych już przez nas częściach, zaczyna przybierać prawie swojski wygląd. Przed każdą chatką jest ogródek, a w ogródku rosną słoneczniki i malwy. Jak u nas w Polsce... A gdy spacerować po drodze późnym wieczorem, wtedy blask księżycy wysrebrza podzwrotnikowe trawy, którymi poszyte są dachy i czarodziejską swą mocą przetwarza je na słomiane wiejskie strzechy. Rozświetlone wnętrza chat mrugają przyjaźnie złotymi oknami jak u nas... Przed chatami siedzą w półmroku gromadki ludzi, jakby na naszych ciżbach... Noc przynosi na swych skrzydłach gwar rozmów i chwytające za serce wspomnieniem melodie o rozmarynie i rozkwitających pękach białych róż. Zdała w sierocińcu dzieci śpiewają „wszystkie nasze dzienne sprawy.” Złudzenie staje się prawie zupełne.

Życie płynie tu cicho i spokojnie. Mieszkamy w domkach 3-ech izbowych, po dwie rodziny. Środkowy pokój służy za wspólną jadalnię. Pisząc „pokój” wyrażam się trochę optymistycznie bo niema on podłogi, tylko ubitą ziemię w której pełno jest piaskowych pcheł, stanowiących naszą plagę. Kuchnia zbudowana jest oddzielnie, pod dachem, i gotujemy sobie w niej sami produkty, które nam wydają.

Trosk materialnych nie mamy właściwie żadnych. **Najbardziej brak nam pracy**, którą dała poczucie, że nie żyje się z łaski. Narazie ludzie pracują codziennie w swoich ogródkach, w szwalniach, przy kręceniu sznurów, rozpoczyna już pracę tkalnia, ale przejdzie jeszcze zapewne kilka miesięcy zanim wszyscy zaczną normalnie pracować. To wpłynie ogromnie na samopoczucie ludzi, no i na spokój w obozie. Nie zapominaj, Tatusiu, że tu jest 40% kobiet, reszta to dzieci, a mężczyzn procent minimalny, więc przy braku absorbującego zajęcia ludzie zajmują się sobą nawzajem. A to nie przyczynia się do wytworzenia miłej, sąsiedzkiej atmosfery.” (...)

Po linii zaspokajania tej właśnie potrzeby idą wysiłki Rządu R.P. Na pierwszej stronie „Polaka w Afryce” znajdujemy oświadczenie Delegata Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, inż. Kaźmierczaka, które głosi m.in.:

„Opieka rządów brytyjskiego i polskiego pod którą jesteście, nie ogranicza się do spraw czysto materialnych. Rozwijamy szkolnictwo, aby dzieci wasze mogły odrobić starcone lata nauki... Rozwijamy przemysł domowy, rolny, hodowlany i inny abyście nie tylko nie tracili czasu w demoralizującej beczynności, ale abyście mogli mieć poczucie zarabiania na siebie samych, tak nieodłączne od poczucia własnej godności i wartości. ...

Musicie wrócić do Polski jako pełnowartościowi obywatele. ... Ludność rolnicza musi stanąć przy warsztatach pracy, które dla niej są tworzone i rozwijane. Wszyscy fachowcy powinni korzystać z każdej sposobności aby się doskonalić i przywieźć z sobą do ojczyzny jaknajwięcej doświadczenia zdobytego tutaj.”

Te słowa: „Musimy wrócić do Polski jako pełnowartościowi obywatele,” oraz hasło: „Pobyt w Afryce ma nas przygotować do pracy w ojczyźnie” – przewijają się przez wszystkie karty „Polaka w Afryce” – będąc chyba najlepszą receptą na gryzącą tęsknotę.

(I.)

28 maja 1943 r.

WŚRÓD DZIECI POLSKICH

Z pobytu min. Stańczyka na Środkowym Wschodzie

Teheran. (PAT.)

Przebywający w Iranie Min. Pracy i Opieki Społecznej Jan Stańczyk zwiedził wszystkie obozy dla polskich uchodźców w Persji. Stwierdził on, że obozy są doskonale urządzone i że życie uchodźców jest dobrze zorganizowane. W każdym obozie znajdują się polskie szkoły dla dzieci, szpitale dla chorych, domy starców, place sportowe, czytelnie i t.d. Współpraca pomiędzy uchodźcami, a Delegaturą Ministerstwa, Poselstwem R.P., Czerwonym Krzyżem, polskimi władzami wojskowymi, władzami perskimi oraz przedstawicielami instytucji brytyjskich i amerykańskich daje jak najlepsze rezultaty.

W Teheranie min. Stańczyk zwiedził wszystkie polskie instytucje: szkoły, szpitale, magazyny towarów nadesłanych w ramach Lease and Lend Bill'u oraz instytucje Czerwonego Krzyża.

W obozach uchodźcy urządzali w czasie pobytu min. Stańczyka manifestacje na cześć Rządu Polskiego, dziękując za doskonale zorganizowanie pomocy dla uchodźców.

Jedna z Polek ofiarowała min. Stańczykowi malutki woreczek z ziemią przywiezioną z Polski. Przedstawiciele polskich uchodźców wręczyli min. Stańczykowi dwa albumy zdjęć, przedstawiających życie polskich uchodźców w Persji. Jeden album przeznaczony jest dla gen. Sikorskiego, a drugi dla min. Stańczyka.

Na konferencji prasowej z udziałem angielskich i amerykańskich dziennikarzy, min. Stańczyk opowiedział przedstawicielom prasy o sytuacji polskich uchodźców na świecie, a w szczególności w Persji, dziękując przy okazji rządowi Iranu i W. Brytanji i Ameryki za pomoc okazywaną polskim uchodźcom. W czasie pobytu min. Stańczyka w Teheranie rząd Iranu wydał na jego cześć specjalne przyjęcie. Obecni byli, min. Spraw Zagranicznych Iranu, min. zdrowia, min. oświaty oraz liczni goście zagraniczni.

Minister Pracy i Opieki Społecznej Stańczyk, spędził trzy dni w Ispahanie, mieście polskich dzieci w Persji. Ogółem w Ispahanie przebywa 1,400 polskich dzieci. Umieszczone one zostały w możliwie najlepszych warunkach.

Zamieszkują w domach położonych w prześlicznych ogrodach, posiadają własne szkoły, place do gier sportowych, sanatorium, szpital i t.d.

Z okazji pobytu Min. Stańczyka w Ispahanie harcerze polscy urządzili Jamboree, na które przybyli także przedstawiciele władz wojskowych Iranu i W. Brytanji. Min. Stańczyk wygłosił przemówienie, w którym powitał uchodźców polskich w imieniu Rządu Polskiego, stwierdzając, że Rząd jest zdecydowany zapewnić im wszelką pomoc. Równocześnie podziękował Gubernatorowi prowincji oraz władzom brytyjskim i amerykańskim za pomoc okazywaną polskim uchodźcom.



1 czerwca 1943 r.



W Iraku, gdzie jak wiadomo znajduje się dużo dzieci polskich, rozwija się organizacja harcerstwa. Na zdjęciu grupa harcerek polskich.

W Iraku, gdzie jak wiadomo znajduje się dużo dzieci polskich, rozwija się organizacja harcerstwa. Na zdjęciu grupa harcerek polskich.

26 czerwca 1943 r.

W KRAJU

SZKOLNICTWO POD „OPIEKĄ” GESTAPO

W SZKOLNICTWIE polskim na terenie G.G. każdy nowy okres przynosi zmiany na gorsze. Zabieranie lokali, a nawet cyniczny rabunek węgla przygotowanego na zimę i umożliwiającego funkcjonowanie szkoły, a niejednokrotnie zakupionego ze składek rodzicielskich – są na porządku dziennym. Mimo heroicznych wprost wysiłków ze strony nauczycielstwa – poziom młodzieży naogół jest bardzo niski i panuje duża demoralizacja warunkami wojennymi.

Szkolnictwo jawne jest pod okupacją niemiecką w G.G. podporządkowane całkowicie systemowi rządzenia przez Gestapo. Z

programów szkolnych usunięto wszystko, co może rozwijać, kształcić i bądź dać podstawy wiedzy ogólnej na przyszłość, bądź przygotować do kontynuowania studiów na wyższych uczelniach, nie mówiąc już oczywiście o wszystkich przedmiotach związanych z historią, kulturą i wiedzą o Polsce. Niemcom idzie jedynie o urobienie sobie pracowników potrzebnych w wojenno-gospodarczym aparacie Rzeszy, odpowiednio biernych i na niskim poziomie intelektualnym stojących. Wskutek braku przymusu szkolnego i fatalnych warunków ekonomicznych duży procent dzieci pozostaje poza szkołą. W niektórych okolicach, zwłaszcza na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy, szerzy się potworny analfabetyzm.

Okupacyjne władze szkolne przystąpiły do masowej likwidacji zarówno w Warszawie, jak i na prowincji resztek ocalałego dotychczas prywatnego szkolnictwa powszechnego. Poszczególne szkoły prywatne otrzymały nakazy natychmiastowej likwidacji ich działalności.

M.in. zamknięto wszystkie szkoły zawodowe żeńskie i męskie w Rzeszowie, Sandomierzu, Miechowie i Słomnikach, przy czym znaczną część ich wychowanek i wychowañców wywieziono na roboty przymusowe do Rzeszy. – Starsze roczniki młodzieży szkół handlowych w Krakowie i Krakowskim skierowano przymusowo na kursy rzemieślnicze, co ma być bez wątplenia wstępem do wysłania tej młodzieży do Niemiec.

Pełne szkoły średnie funkcjonują na ziemiach polskich dla Niemców, Ukraińców, Litwinów i Białorusinów, zgodnie z przyjętym systemem niemieckim popierania wszędzie mniejszości narodowych i wygrywania ich antagonizmów przeciw Polsce. – Na uwagę zasługuje fakt utworzenia przez Ukr. Centr. Komitet funduszków stypendialnych dla studentów wyższych uczelni, co pozwoliło studiować 160 studentom we Lwowie i 171 zagranicą. W semestrze letnim 1942 w Berlinie przebywało na studiach 111 stypendystów ukraińskich (najwięcej na dentystryce). – Na użytek Ukraińców oddali Niemcy polskie fundacje i instytuty. Dawny polski dom akademicki we Lwowie jest dziś „hurtożytkiem” akademików ukraińskich i mieści 120 osób; w przygotowaniu jest nowy dom akademicki również na 120 osób w dawnym internacie żeńskiej szkoły gospodarczej na Snopkowie.

Brak szkół i możliwości wychowania młodzieży powoduje groźne dla społeczeństwa skutki, których objawy nie każą długo na siebie czekać.

28 czerwca 1943 r.

Uchodźcy polscy w drodze do Meksyku **DZIECI, KTÓRE NIE PŁACZĄ I KTÓRE NIE ŚMIEJĄ SIĘ** *Wellington. (PAT.)*

PRASA Wellingtońska zamieszcza opisy pobytu w Nowej Zelandji statku, na którego pokładzie było 700 polskich uchodźców jadących do Meksyku. Był to pierwszy kontyngent z 10,000 uchodźców polskich, którym rząd meksykański zaofiarował gościnę.

Transportowi towarzyszył Konsul R.P. z Bombaju. Z pośród 700 uchodźców polskich blisko 600 były kobiety i dzieci. Pozostali – to mężczyźni w wieku poza poborowym, albo żołnierze niezdolni do służby, kilku nauczycieli, pielęgniarki, dwóch doktorów i kapelan. Kapitan statku oświadczył: „dzieci te nigdy nie płaczą, nie mam z nimi na pokładzie żadnego kłopotu.”

Jeden z nauczycieli polskich dodał: „ale także nie śmieją się”.

Ponieważ uchodźcom brak było najpotrzebniejszych części odzieży, delegat P.C.K. w Nowej Zelandii zwrócił się z apelem do Czerwonego Krzyża w Wellingtonie, do organizacji harcerskich i innych pokrewnych stowarzyszeń. Przeprowadzona zbiórka dała dała nadzwyczajne wyniki. Środki lecznicze zaofiarowane zostały przez przez wice-przewodniczącą stowarzyszenia polskiego dr. Słuckiego oraz p. Słucką, Prezesa Komitetu Pomocy – w imieniu stowarzyszeń polskich. Poza tym ludność Wellingtonu ofiarowała dla dzieci owoce, materiały piśmienne oraz zabawki.

Pobyt uchodźców polskich wywarł głębokie wrażenie na ludności Wellingtonu, która pierwszy raz zetknęła się bezpośrednio z ofiarami wojny.

23 lipca 1943 r.



Śp. Gen. Sikorski przemawia do junaków na Bl. Wschodzie.

23 sierpnia 1943 r.

14-LETNICH CHŁOPCÓW WYWOŻĄ na roboty do Niemiec (PAT.)

Z kraju nadeszły wiadomości, iż w wielu miejscowościach Niemcy zaczęli wywozić na pracę do Rzeszy 14-letnią młodzież ze szkół powszechnych. W gen. Gubernatorstwie przeprowadzona została rejestracja uczniów kończących 7-klasowe szkoły powszechne. Karty rejestracyjne wypełniane są w szkołach, a następnie odsyłane do urzędów pracy. W Krakowskim i Jarosławskim nauczyciele protestujący przeciwko wywożeniu młodzieży ze szkół powszechnych na roboty do Rzeszy zostali aresztowani.

Typowym przykładem warunków pracy w obozach młodzieży polskiej może być organizacja służby budowlanej (Baudienstst) w okręgu Radomskim. W obozach w tym okręgu pracuje 10,000 młodzieży polskiej w kamieniołomach, przy naprawie dróg, i t.p. Szkolenia po przymusowym poborze do pracy nie ma.

Chłopcy od razu rozdzielani są na grupy według zajęć. Noc spędzają w barakach obozowych. Zarobek wynosi 1 zł. dziennie. Wyżywienie ich jest bardzo skąpe: na śniadanie dostają pół litra rzadkiej zupy z kawałkiem chleba, na obiad zupa na kościach i ziemniaki z kapustą, wieczorem pół litra kawy, kawałek chleba i trochę marmelady. Ponadto chłopcy otrzymują 20 papierosów tygodniowo i 1/8 litra wódki miesięcznie. **Chłopcy są przemęczeni, niedożywieni, nienawidzą swej władzy. Pobyt w służbie budowlanej trwa kilka miesięcy, poczem młodzież za pośrednictwem urzędów pracy wysyłana jest na roboty w Rzeszy.**

26 sierpnia 1943 r.



31 sierpnia 1943 r.

TROSKA O MŁODZIEŻ którą Niemcy demoralizują (PAT.)

„Świt” zamieszcza gorący apel do Polaków zagranicą nawołując ich do zbierania środków materialnych, a przede wszystkim pieniędzy celem rozbudowy tajnych organizacji wśród młodzieży. Apel wskazuje na konieczność wydatnego zwiększenia ilości członków organizacji młodzieżowych, aby ocalić młodzież przed zepsuciem, do czego dążą rozmaitemi sposobami władze okupacyjne. „Świt” z wielkim uznaniem podkreśla wielki wysiłek dokonywany w Polsce przez zorganizowaną młodzież, która będąc strażą przednią w walce narodu o wolność, równocześnie uczy się pilnie w tajnych szkołach, zdobywając równocześnie środki utrzymania i dla siebie i dla swych rodzin. Praca organizacyjna – stwierdza „Świt” – objąć musi młodzież, niezorganizowaną, pozbawioną szkół i zmuszoną do pracy w t.zw. niemieckich oddziałach budowlanych. Niemcy usiłują zdemoralizować tę młodzież – zabić jej duszę i osłabić ją fizycznie. W oddziałach budowlanych, w których znajduje się młodzież polska, władze niemieckie propagują alkoholizm i pornografię, a wszelkiego rodzaju wychowanie fizyczne i sporty, oparte na zdrowych zasadach, są zakazane. Należy zająć się młodzieżą w całej Polsce. Młodzieżą miast i wsi, od małego Drohobycza do wielkiej Łodzi. Należy zająć się młodzieżą polską, która rozszana została po krajach znajdujących się poza zasięgiem aliantów. Apel kończy się słowami: W życiu narodu polskiego obecnie stworzyła się wielka luka, jest to czteroletnia przerwa, która nastąpiła w przyroście inteligencji. Grozi nam sytuacja podobna do tej, która spotkała Czechów po bitwie pod Białą Górą, kiedy to wymordowana została przez Niemców prawie cała klasa oświecona ówczesnych Czech. **Pomagajmy młodzieży polskiej, pomagajmy jej w walce przeciwko Niemcom i przeciwko innym wrogom.**

3 września 1943 r.



Młody chłopiec polski, pamiętający długi okres głodowania, z uśmiechem niesie bochenki smacznego chleba pochodzącego z darów Amerykańskiego Czerwonego Krzyża.

28 września 1943 r.

P. HELENA SIKORSKA

o prześladowaniu dzieci polskich

P. Helena Sikorska wygłosiła w niedzielę, 26 b.m. przez radio przemówienie w związku z Dniem Protestu przeciw prześladowaniu dzieci polskich.

„W toczącej się obecnie, istotnie nowoczesnej wojnie biorą udział całe narody. Ludność cywilna jest takim samym wojskiem, jak i kadry żołnierskie. Kobiety walczą na równi z mężczyznami. Giną dziesiątki i setki tysięcy ludzi umierają z ran, lub zostaną przez całe lata w niewoli. Co dzień i co noc tak na liniach wszystkich frontów i poza nimi, jak i wśród nieustępliwej podziemnej walki narodów ujarzmionych – ludność ponosi te niestychane ofiary. Zмага się ze złem.

Jakkolwiek jest to hańbiącą kartą w historii ludzkości, jest tak niezmiernie bolesne i tak brzemiennie w łzy ludzkie i cierpienia – mogłoby być może być zrozumiałe. Z wojną zawsze wiązało się cierpienie.

Ale jest wśród tego ogromu zła czasów obecnych tak czarna plama, że wieki jej nie wybielą, że nikt nigdy nie potrafi zrozumieć, ani wytłomaczyć.

Ponura pamięć niemieckich zbrodni na dzieciach w Polsce.

Przetrwa ona wieki, jako karta bestialstwa, stosowanego z zimną germańską bezwzględnością.

Nie można otrząsnąć się ze zgrozy, objąć umysłem ani odpowiedzieć na pytanie: dlaczego giną te niewinne istoty? Nie walczyły przecież z niczym ni przeciw nikomu. Nie znały nikogo, prócz matki i ojca. Nie wiedziały nic o istnieniu zła, ani nienawiści. Są tak starsznie bezbronne.

Czy dlatego Niemcy uznali je również, jako swoich wrogów, których należy tępić bezlitośnie?

Cztery lata temu lotnicy osławionej „Luftwaffe” strzelali do tych właśnie istot, lecąc wzdłuż pociągów czerwonokrzyżkowych, tropili je w ochronkach i w szpitalach, gonili ogniem karabinów maszynowych po ulicach i na drogach ewakuacji. A potem nad dzieckiem polskim objął pieczę zwycięski

żołdak niemiecki i niemieckie prawo. Przez pełne cztery lata niewoli trwała i trwa po dziś dzień bezlitosna kampania rasowa – przeciw dziecku. Od czterech lat pozbawione jest ono najprymitywniejszych warunków, w jakich dziecko wogóle może egzystować. Jeżeli nie jest porywane rodzicom, wywożone, zamęczane z premedytacją, z dzikim sadyzmem w zapamiętaniu, z nienawiścią, to tuła się bezdomne, półnagie i bose, ścigane strachem, chore a bez pomocy lekarskiej, bez opieki rodziców. Ci bowiem giną w obozach niemieckich, albo z podniesioną głową stają przed lufami karabinów i śmierć przyjmują z pogardą.

Wierzmy bezwzględnie w zwycięstwo. Lecz nim ono nadejdzie, protest powszechny świata chrześcijańskiego niech ostrzeże Niemców.

Niech opamiętają się kaci i zatrzymają przed wykonaniem masowych wyroków na dzieciach. Niech zrozumieją, że świat twardo zażąda sprawiedliwej zapłaty. A zapłacą ją niechybnie – za wszystkie nieobliczalne szkody, które wyrządzili światu kataklizmem wojny, rozpętanym przed czterema laty podpaleniem Polski.

Niech wiedzą, że my kobiety, matki rodzin rozbitych, pierwsze zażądamy surowej kary i zapłaty krzywd, ale wołamy do Niemców o opamiętanie. Pomni na los dzieci niemieckich, niech zaprzestaną ogrom swych zbrodni powiększać – o nowy jeszcze ciężar niewinnej krwi naszych dzieci. (PAT.)

Potępienie prześladowania dzieci

(PAT.)

W ramach Dnia Protestu przeciw prześladowaniu dzieci polskich odbyło się w poniedziałek, 27 b.m. w „Central Hall” Westminster’u w Londynie wielkie zebranie protestacyjne. Przewodniczącym zebrania – z którego obszerniejsze sprawozdanie podamy w dniu jutrzejszym – był szef Labour Party, poseł do Parlamentu Artur Greenwood. Przemówienia wygłosili postowie do Parlamentu kpt. Allan Graham i W.J. Brown, pastor R.F.V. Scott oraz p. Adam Ciołkosz.

Zebranie przyjęło jednogłośnie następujący tekst uchwały protestacyjnej przeciw prześladowaniu dzieci polskich.

Pragniemy wyrazić naszą najgłębszą odrazę wobec okrutnych prześladowań dzieci polskich. Prześladowania te są częścią planu niemieckiego, aby doprowadzić do biologicznego zniszczenia narodu

polskiego. Wydzierane rodzicom, głodzone, katowane a często zabijane przez oprawców dzieci polskie znosić muszą cierpienia bezprzykładne w historii. Dzieci te są nietylko poddawane torturom fizycznym, ale również pozbawiane życia rodzinnego, nauki i religii. Nie zaniechano żadnego wysiłku, aby dzieci te zapomniały, że są Polakami. Potępiamy bezwzględnie te zbrodnie i wszystkich, którzy się ich dopuszczają. Uroczyście zobowiązujemy się do udzielenia ofiarom tych prześladowań wszelkiej możliwej pomocy i niedopuszczenia do tego, aby zbrodniarze uszli bezkarnie.

Najmłodszy lotnicy

ADOPTOWANE DZIECI POLSKICH DYWIZJONÓW

Na jednej ze stacji lotniczych gdzieś w Anglii, znajduje się Szkoła Małoletnich, a w niej około 300 polskich chłopców, którzy do W. Brytanii przyjechali z Rosji.

W większości – to sieroty!

Poczucie samotności zwłaszcza na obczyźnie, po latach tułaczki i tylu ciężkich przejściach dolega nawet dorosłym i nawet – najsilniejszym, a cóż dopiero tym chłopcom, którzy najwięcej potrzebują serca i opieki. To też szczęśliwa była myśl i inicjatywa adoptowania tych właśnie, można określić, najmłodszych lotników przez Polskie Dywizjony bojowe, które otaczając ich opieką i utrzymując z nimi stałą, nieprzerwaną łączność, wpłynęłyby nie tylko na poprawę samopoczucia, ale i związały ze swoją tradycją bojową. Na pierwszy apel Wydziału Kulturalnego Inspektoratu Lotnictwa zgłosiły się dwa Dywizjony: słynny Dywizjon Myśliwski „Kościuszkowski” i Dywizjon Bombowy „Ziemi Wielkopolskiej”. One to zaadoptowały dwie pierwsze drużyny, ze Szkoły Małoletnich. Miejmy nadzieję, że w najbliższym czasie wszystkie Polskie Dywizjony będą mieć „swoje dzieci”, a najmłodszy lotnicy swoich Opiekunów, będących dla nich jednocześnie wspólnym wzorem do naśladowania.

29 września 1943 r.

CAŁY ŚWIAT POTĘPIA prześladowanie dzieci polskich

(PAT.)

Wiadomości napływające od korespondentów PAT'a stwierdzają, że akcja protestu przeciwko prześladowaniom dzieci polskich przybrała zagranicą szerokie rozmiary.

BRAZYLIA

Biskup Rio de Janeiro odprawił nabożeństwo na intencję dzieci polskich oraz wygłosił kazanie. Harcerze brazylijscy po nabożeństwie przeszli pochodem przez miasto pod pomnik harcerza, gdzie złożono wieniec ze wstęgami o polskich barwach narodowych. W pochodzie przez ulice wzięli również udział sprzedawcy gazet brazylijskich, aby złożyć hołd młodocianym kolporterom polskiej prasy podziemnej rozstrzelanym przez Niemców. **Dziesięć radiostacji brazylijskich ogłosiło tekst protestu przeciwko prześladowaniu dzieci polskich a w prasie ukazały się artykuły podnoszące bohaterstwo młodego pokolenia polskiego.**

KANADA

Prymas Kanady polecił przez cały październik odprawiać modły na intencję dzieci w krajach okupowanych. W Ottawie i Toronto odbyły się wiece protestacyjne oraz nabożeństwa. Radiostacje kanadyjskie nadały przemówienie Prezeski National Council of Women o dzieciach pod polską okupacją. W bieżącym tygodniu zapowiedziane zostały dalsze zgromadzenia protestacyjne.

CHINY

Chen Li Fu, chiński minister oświaty w Chungkingu, w charakterze prezesa, T-wa Polsko-Chińskiego ogłosił odezwę do narodów Zjednoczonych, w której w najostrzejszych słowach potępił zbrodnie niemieckie popełnione na dzieciach polskich.

Klub międzynarodowy kobiet w Chungkingu powziął uchwałę zwracającą się do narodu polskiego z wyrazami współczucia i hołdu i wyrażającą nadzieję, **że niedługo już dzieci polskie korzystać będą z upragnionej wolności.**

W Ambasadzie R.P. w Chungingu odbyła się konferencja prasowa, na której poza dziennikarzami, obecni byli dr. **Lone Liang**, dyr. departamentu spraw europejskich oraz dr. Ho Fengsian, dyr. wydziału informacyjnego chińskiego M.S.Z. Pani Ponińska, małżonka Ambadora zapoznała obecnych z ciężką sytuacją dzieci polskich. Pani Ponińska i pani Hermance Lin, małżonka znanego pedagoga chińskiego, zamordowanego przez Japończyków, wygłosiły przez radio przemówienia o prześladowaniu dzieci polskich.

PALESTYNA

W Tel-Awivie, Jerozolimie i Haifie powstały komitety złożone z miejscowego społeczeństwa celem zorganizowania akcji protestacyjnej. 26 b.m. odbyły się nabożeństwa na intencję dzieci polskich w świątyniach wszystkich wyznań oraz zebrania organizacji społecznych, na których szereg wybitnych osobistości wygłosił przemówienia.

Na zebraniu związku dziennikarzy hebrajskich prezes związku oświadczył m.in.:

Stosunek do dziecka jest miarą kultury narodowej. Naród prześladujący dzieci nie jest godny tego, aby żył wśród narodów kulturalnych.

Należy to podkreślić szczególnie dzisiaj, gdy w przededniu klęski Hitlera pojawiają się głosy w obronie narodu niemieckiego.

PORTUGALIA

Dziennik katolicki „**Novidades**” pisze: Cierpienia i ofiary dzieci polskich powinny wywołać wszędzie jak największe współczucie. Już teraz należy zacząć przygotowanie pomocy dla dzieci polskich na okres powojenny. **Brak jest słów na opisanie cierpień narodu polskiego i dzieci polskich.** Wezwanie o pomoc dzieciom polskim spotyka się wszędzie ze szczerymi odruchami solidarności. **Położenie miliona dzieci bez dachu nad głową i chleba jest jednym z objawów bohaterskiego oporu narodu polskiego.**

ARGENTYNA

W bieżącym tygodniu obywatele Argentyny podpisywać będą swe nazwiska na listach protestacyjnych przeciwko prześladowaniom dzieci polskich. Zw. Polaków w Argentynie ogłosił protest. Stowarzyszenie Kobiet Polskich w Argentynie wspólnie z Kołem polsko-argentyńskim zorganizowało spotkanie protestacyjne na którym przemawiali mówcy argentyńscy i polscy. Znany pisarz argentyński Carlos Orfeo wygłosił przez radio przemówienie o dzieciach polskich. **26 b.m. odprawione zostały nabożeństwa żałobne na**

intencję dzieci polskich. Na nabożeństwach obecnych było wielu przyjaciół Polski, spośród kół argentyńskich i alianckich. W miejscowej synagodze zapowiedziane zostało w bieżącym tygodniu nabożeństwo. Prasa argentyńska ogłosiła liczne artykuły o ciężkim położeniu dzieci polskich.

„**La Prensa**” podkreśla, że sytuacja dzieci w Polsce i w innych krajach okupowanych staje się coraz bardziej ciężka i wita inicjatywę polską zorganizowania protestu światowego przeciwko brutalnemu traktowaniu młodzieży i dzieci pod okupacją.

Dziennik „**Critica**” po omówieniu położenia dzieci w Polsce pisze, iż po wojnie nie wystarczy tylko pomoc materialna. **Wszystkie narody kulturalne powinny po wojnie zająć się również pomocą moralną dla dzieci i młodzieży pod okupacją i zorganizować opiekę społeczną tak ważną dla przyszłości.**

SZWECJA

W Sztokholmie odprawiona została w kościele O.O. Dominikanów Msza św. na intencję dzieci polskich w obecności Pośła R.P. W Ognisku Polskim odbyło się zgromadzenie, na którym Polak, któremu udało się niedawno wyjechać z Polski, opowiadał o prześladowaniu dzieci przez Niemców.

STANY ZJEDNOCZONE

Na najbliższe dni zapowiedziane zostały w Polskich ośrodkach w Ameryce wielkie zgromadzenia protestacyjne przeciwko prześladowaniom dzieci.

„**Washington Post**” ogłosił artykuł, w którym porównuje wędrówkę dzieci polskich wygnanych ze swych siedzib, do wypraw krzyżowych w średniowieczu. Artykuł ilustrowany jest fotografiami junaków polskich.

1 października 1943 r.

DZIECI POLSKIE

przedmiotem powszechnego współczucia

NADCHODZĄ dalsze wiadomości o przebiegu dania protestu przeciw prześladowaniu dzieci polskich.

KAIR

Prasa ogłosiła odezwę p. Heleny Sikorskiej oraz obszerne informacje o ciężkiej sytuacji dzieci polskich. „**La Bourse Egyptienne**” i inne dzienniki

stwierdzają, że apel p. Sikorskiej powinien być wysłuchany. Należy wobec Niemców, jak pisze prasa, zastosować represje, ponieważ tylko strach przed sprawiedliwą karą powstrzyma ich od okrucieństw popełnianych na dzieciach polskich.

CHILE

Z polecenia arcybiskupa Santiago i innych biskupów odbyły się modły na intencję dzieci polskich. Minister Oświaty ogłosił odezwę z powodu „Dnia Protestu”, w wielu szkołach odbyły się pogadanki dla młodzieży o prześladowaniach ich rówieśników polskich. W prasie ukazały się artykuły potępiające okrucieństwa niemieckie wobec dzieci polskich. Miejskowa radiostacja nadała audycję poświęconą dzieciom polskim.

DZIECI POLSKIE
przedmiotem powszechnego współczucia

NADCHODZĄ dalsze wiadomości o przebiegu dnia protestu przeciw prześladowaniu dzieci polskich.

KAIR

Prasa ogłosiła odezwę p. Heleny Sikorskiej oraz obszerne informacje o ciężkiej sytuacji dzieci polskich. „La Bourse Egyptienne” i inne dzienniki stwierdzają, że apel p. Sikorskiej powinien być wysłuchany. Należy wobec Niemców, jak pisze prasa, zastosować represje, ponieważ tylko strach przed sprawiedliwą karą powstrzyma ich od okrucieństw popełnianych na dzieciach polskich.

CHILE

Z polecenia arcybiskupa Santiago i innych biskupów odbyły się modły na intencję dzieci polskich. Minister Oświaty ogłosił odezwę z powodu „Dnia Protestu”, w wielu szkołach odbyły się pogadanki dla młodzieży o prześladowaniach ich rówieśników polskich. W prasie ukazały się artykuły potępiające okrucieństwa niemieckie wobec dzieci polskich. Miejskowa radiostacja nadała audycję poświęconą dzieciom polskim.

które odśpiewały szereg pieśni. Akompaniował p. Walker Cameron. Przewodniczył zebraniu p. Donald S. Macdonald, W. S., honorowy skarbnik miejscowego oddziału Towarzystwa Szkocko-Polskiego.

Miejskowa prasa w poniedziałkowych wydaniach zamieściła bardzo rzeczowe omówienie zebrania, akcentując wiele sympati dla niedoli dziecka polskiego pod okupacją nowoczesnego barbarzyństwa.



Protesty w Szkocji

P. Helena Sikoraka wygłosiła 26 września przemówienie o prześladowaniu dzieci polskich.

Protesty w Szkocji

W sobotę, dnia 25 września, odbyło się w Edinburgh, w Walpole Hall, specjalne zebranie, zwołane przez miejscowy oddział Towarzystwa Szkocko-Polskiego, na którym uchwalono protest przeciwko barbarzyńskim praktykom, stosowanym do dzieci w Polsce.

Przemawiał p. **George Burnet**, honorowy sekretarz oddziału, który szeroko, z powołaniem się na dokumenty i naoczne relacje, omówił starszliwy los dzieci w Polsce, jak również napiętnował, wołające o pomstę do nieba, objawy niemieckiego zdziczenia.

W części koncertowej udział wzięły: p. Kathleen Garscadden (Szkotka) i p. Halina Victoria (Polka), które odśpiewały szereg pieśni. Akompaniował p. Walker Cameron.

Przewodniczył zebraniu p. Donald S. Macdonald, W. S., honorowy skarbnik miejscowego oddziału Towarzystwa Szkocko-Polskiego.

Miejscowa prasa w poniedziałkowych wydaniach zamieściła bardzo rzeczowe omówienie zebrania, akcentując wiele sympatii dla niedoli dziecka polskiego pod okupacją nowoczesnego barbarzyństwa.

GŁOSY OBURZENIA

o prześladowaniu dzieci

P. Rebeca West, znana pisarka brytyjska przesłała na ręce przewodniczącej polskiego PEN Klubu p. Kuncewiczowej telegram w związku z Dniem Protestu przeciwko prześladowaniu dzieci w Polsce:

„Cierpienia Waszej Ojczyzny są tak wielkie, że czuję się wprost zawstydzona, gdy chcę powiedzieć, że dla nas stały się one największą podniętą. A jednak jest prawdą, że przez zachowanie nienaruszonej postawy w obliczu brutalnej siły, dowiedliście, że potęga zła ma przecież swoje granice, zaś moc dobra jest nieskończona.”

Oświadczenie przewodniczącej brytyjskiego PEN-Klubu p. Storm Jameson:

My obywatele W. Brytanii, których dzieci padały ofiarą nieprzyjacielskich nalotów, tylko w małym stopniu możemy uświadomić sobie, czym jest nieszczęsny los dzieci polskich, które znosić muszą warunki wojny zbyt wielkiej i potwornej nawet dla dorosłych.

Byłoby dobrze, gdyby każda brytyjska matka, zastanowiła się i spróbowała wyobrazić sobie przez chwilę, że to jej własne dziecko załadowano do transportu kolejowego wraz z setkami innych nieprzytomnych z lęku dzieci,

że dziecko to zmuszone jest przebywać wraz z umierającymi i zmarłymi już dziećmi w pociągu przez szereg dni, by wreszcie zginąć, jak małe zwierzątko z rąk niemieckiego oprawcy. Wtedy dopiero kobieta brytyjska będzie mogła choć w części zdać sobie sprawę z tego, co się obecnie w Polsce dzieje. Możliwe, że istnieją w Niemczech kobiety, które nie wiedzą, czego Niemcy w Polsce się dopuszczają. My musimy dopilnować, by po tej wojnie każdy obywatel niemiecki, zarówno nieświadom prawdy, jak i ten, który o niej nie chce wiedzieć, zdawał sobie jasno sprawę z ogromu prześladowań dokonanych na dzieciach w Polsce.

Muszą istnieć środki, za pomocą których rząd W. Brytanii, tego szczęśliwego kraju, mógłby już dziś ostrzec Niemców, że za zbrodnię wobec każdego polskiego dziecka, będą musieli ponieść odpowiedzialność.

Nic nie zdoła wskrzesić tych dzieci, które w ciągu czterech lat zginęły. Trzeba się zdobyć na największy wysiłek, by ocalić resztę dzieci, które dziś żyją w cieniu niemieckiej śmierci. Są one przyszłością Polski a Polska żyć musi.

(PAT.)

5 października 1943 r.

DZIECI POLSKIE W DOLINIE GANGESU

Po długim, złym śnie Marysia obudziła się w zaczarowanym świecie. Wszystko tu było dla dzieci. Marysia leżała na białym czystym łóżeczku, dokoła brzmiały radosne głosy innych dzieci, nad łóżeczkiem pochylała się miła twarz ze znakiem czerwonego krzyża na czole, w białym czepeczku, podobnym do skrzydeł anioła stróża na obrazku wiszącym nad łóżeczkiem Marysi jeszcze we Lwowie.

Do łóżeczka przynoszono Marysi właśnie gorące mleko, smażone kurczęta, owoce. Marysia nie mogła uwierzyć, że tak będzie zawsze. Próbowwała nawet chować resztki jedzenia z przyzwyczajenia, ale wkrótce uwierzyła, że dostawać będzie jeść kilka razy dziennie. Kiedy się czuła lepiej, mogła biegać po pięknym ogrodzie razem z innymi dziećmi. Dostała białą sukienkę, duży kapelusz od słońca i czarne okulary, żeby się oczy nie męczyły. Co tydzień było dla dzieci kino, a czasem miłe, dobre panie zabierały dzieci na koncert czy na piknik na świeżym powietrzu. Marysia po kilku miesiącach zrobiła się tłustą,

żywą dziewczynką i wiedziała już napewno, że wszystko co ją dzieliło od wspomnień ze Lwowa było tylko złym snem.

Ale żeby życie Marysi i paru tysięcy innych dzieci ułożyć w ten sposób, trzeba było wiele pracy i wysiłku. Trzeba było zmobilizować sztab ludzi do pomocy, pobudzić inicjatywę miejscowych władz społeczeństwa. O to ostatnie było najłatwiej. Pracujący przez cały okres wojny konsulat R.P. w Bombaju cieszył się życzliwą współpracą i poparciem nie tylko miejscowego społeczeństwa, ale i władz hinduskich oraz brytyjskich. Zdołano w pierwszym okresie wojny zorganizować kilka transportów odzieży i leków dla Polaków w Rosji. W okresie tym powstała delegatura P.C.K. w Bombaju, współpracująca ściśle z Hinduskim Czerwonym Krzyżem. Po podpisaniu umowy polsko-rosyjskiej otworzyły się szersze możliwości pomocy dla Polaków w Rosji.

Ludność polska z Rosji, w tym wiele kobiet i dzieci, napływała tłumnie do Iranu, który na przyjęcie wielu tysięcy uchodźców polskich nie był przygotowany. Z grupy uchodźców należało przede wszystkim ratować dzieci, dać im możliwe warunki klimatyczne, zapewnić opiekę lekarską, dobre odżywianie. Główną rolę w tej akcji odegrała inicjatywa prywatna. Wśród ludzi zamieszkujących podnóża Himalaji znalazł się człowiek, który o dalekiej, nieszczęśliwej, wiecznie wojnami nękanej Polsce nie tylko słyszał, ale dla której dzięki osobistym kontaktom swojej rodziny chował szczerzy sentyment. Maharadża Nawagaru ofiarował gościnę dla 5,000 polskich dzieci, oddając do ich dyspozycji swoje piękne ogrody oraz część budynków swojej posiadłości, na pierwsze pomieszczenia dla dzieci polskich. Wkrótce można było przygotować się na przyjęcie drugiej partii 5,000 dzieci polskich z Rosji.

Delegatka P.C.K. w Bombaju energicznie pomagała Maharadży w tym przedsięwzięciu. W ten sposób powstało pierwsze osiedle dla dzieci w okolicy Bombaju w Jamnagar. Zorganizowano tam szpitalik, w którym leczyły się dzieci chore na malarię, odrę azjatycką, gruźlicę, zorganizowano szkołę, sypialnie, place do gier i zabaw. Umieszczono ciężiej chore dzieci w sanatoriach hinduskich.

Pierwszym zagadnieniem było dostarczyć dzieciom odzieży. Krawcy hinduscy pod kierownictwem pań polskich, które w charakterze opiekunek przybyły z transportami dzieci, rozpoczęli szycie białych spodenek i sukienek. Hinduski Czerwony Krzyż i Amerykański Czerwony Krzyż, troskliwa opiekunka dzieci Lady Dow, gen. Hind, Brady, gubernator prowincji Sind dostarczyli

ubrania, swetrów, ciepłej bielizny a także leków i preparatów witaminowych. Polski Czerwony Krzyż dostarczał delegaturze stałej subwencji na ten cel. Delegatka P.C.K. pracowała równocześnie w charakterze delegatki M.O.S., które również subwencjonowało akcję pomocy.

Leki, żywność i odzież dzięki życzliwości miejscowych władz były transportowane kolejami i statkami na terenie Indii bezpłatnie, pracownicy delegatury otrzymywali zniżki na kolejach a przy wszystkich zakupach udzielano znacznych zniżek.

Pod koniec 1942 r. poza osiedlem w Jamnagar i poza placówką w Bombaju, gdzie założono Gospodę dla dzieci, istniał jeszcze obóz tranzytowy w **Karachi**, Kierowniczką tego osiedla została pani Dubash, członek P.C.K. w Bombaju. W Karachi założono szpitalik na 150 łóżek, kuchnię dokarmiania dzieci. W osiedlu tym przebywało stale ok. 3,000 osób a do dnia 1 stycznia 1943 r. **przesunęło się przez ten obóz 7.955 ludzi**. Część ludności polskiej, zwłaszcza inwalidów wojennych i kobiet z dziećmi, skierowano do innych osiedli w Afryce Wschodniej i Południowej. Pragnieniem opiekunek osiedli było, ażeby dzieci mogły się uczyć tak jak ich koledzy i koleżanki w Anglii. Największą trudnością było znalezienie książek polskich. Zwrócono się więc do Rady Polonii Amerykańskiej w Stanach Zjed., zaangażowano polskich nauczycieli. „To jest las a to lis” sylabizuje mała Marysia ze Lwowa w Karachi. Dzieci uczą się angielskich piosenek, czytają angielskie bajki. Opiekunki organizują dla nich kino, przedstawienia teatralne i koncerty.

Pomyślano nawet o tym, żeby zużytkować czas wolontariuszek, kobiet polskich czy starszych dzieci. Delegatura dostarczyła szpitalowi polskiemu w Teheranie - 10,000 sztuk bandaży, z tego 5,000 od indyjskiego Czerwonego Krzyża a 5,000 sztuk z pracowni bandaży zorganizowanych przez P.C.K.

Kiedy tu na Zachodzie Europy naród niemiecki prowadzi walkę z dziećmi, kiedy wiece protestacyjne zaznajamiają świat cały z metodami eksterminacji dzieci, na Wschodzie, w Azji, ciemnowłosi Hindusi i angielscy pracownicy kolonialni sprzymierzyli się, aby dzieci polskie ratować i wolnej Polsce je przywrócić.

Z.L.

7 października 1943 r.

JUNACY POLSCY

gotowi do pracy i walki

Jerozolima. (PAT.)

W dniu protestu przeciw prześladowaniu dzieci polskich odbyła się wzruszająca uroczystość w obozie junaków. Na specjalnie zorganizowanym wieczorze, na który tłumnie przybyła młodzież junacka z obozu i szkół przyjęto następującą deklarację: „My, garść polskiej młodzieży, która się znalazła w wyjątkowo dobrych warunkach i ma możliwość przygotowania się należytego do przyszłych trudów dla dobra Ojczyzny, w tym uroczystym dniu protestu ogólnie światowego przeciwko zbrodniom dokonany na polskiej młodzieży przez wrogów naszych – przyrzekamy:

„Wziąć na swe barki tę pracę olbrzymią, której nie zdołają już dokonać koledzy nasi i koleżanki przedwcześnie zgaśli z ręki nieprzyjaciela lub głodem i mękami pozbawieni życia – tak nam dopomóż Bóg!

Prześcignąć w tempie pracy te narody, które nas wyprzedziły i odrobić w dwójnasób wojenne szkody i zaniedbania – tak nam dopomóż Bóg!

Do życia, które obecnie zionie nienawiścią, wnieść jako czynnik twórczy szlachetność charakteru, dobroć serca i te wszystkie zalety duszy ludzkiej, którym na pewien czas kazała zamilknąć obecna wojna bezlitosna – tak nam dopomóż Bóg!

Postawić Polskę w rzędzie krajów twórczych, wzajem się wspierających i wiodących ludzkość ku lepszym drogom życia i lepszemu losowi – tak nam dopomóż Bóg. W razie potrzeby bronić Polski wszelkimi siłami tak, by się już nigdy w dziejach nie mogła powtórzyć obecna jej tragedia, a na rozkaz wodza już nawet w obecnej wojnie z bronią w ręku, wrogowi naród nasz niszczącemu dać należyłą odpłatę i wejść do Kraju w zwartych szeregach żołnierskich; chcemy by z męczennika zrodził się triumfator, by Brandenburger Tor od kroków polskiego piechura się zwałił i aby na murach Berlina powiewały polskie sztandary.”

Po odczytaniu deklaracji odśpiewano zbiorowo Bogurodzicę.

We wszystkich kompaniach szkół, a więc w junackiej szkole kadetów, w junackiej szkole powszechnej i na kursach maturalnych odbyły się zebrania uczniowskie dla wysłuchania pogadank wyjaśniających cel i charakter odbytego aktu. We wszystkich szkołach powzięto jednolitą uchwałę, w której, pragnąc dać wyraz chęci wzięcia czynnego udziału w akcji, zdecydowano: 1. złożyć jednorazową daninę w wysokości 100 milsów od osoby na rzecz młodzieży, która nie mogła dotychczas znaleźć się pod opieką polskiego rządu; 2. opodatkować się na stałe na tenże cel w kwocie odpowiadającej 3% otrzymywanego żołdu.

19 października 1943 r.

SKAUCI BRAZYLIJSKY O DZIECIACH POLSKICH

W związku z dniem protestu przeciwko prześladowaniu dzieci polskich pod okupacją, zorganizowanym przez Polish Children Rescue Fund Komitet Z.H.P. otrzymał następujące depeze od skauetek i skautów brazylijskich:

Skautki Brazylijskie, zebrane w Masi na uroczystym zgromadzeniu publicznym z okazji powszechnego dnia protestu, przesyłają – wyrazy głębokiego współczucia. Wyrażają solidarność z dziećmi polskimi, modlą się o zwycięstwo i oczekują swobody spotkania skauetek innych narodów. Lourdes Lima Rocha II.

Związek Harcerstwa Polskiego

Brazylijski Związek Skauetek Morskich, jednocząc się z cierpiącymi braćmi polskimi, przesyła zapewnienia szczerzej solidarności i wiary w bliskie zwycięstwo. Czuwaj!

KOMISJA WYKONAWCZA.

20 października 1943 r.

Dla dzieci polskich

Nowy Jork (PAT.)

Komitet pomocy dzieciom polskim w Chicago zwołał na 21 listopada zgromadzenie protestacyjne przeciw prześladowaniu dzieci w Polsce. W skład komitetu wchodzi wszystkie ważniejsze organizacje kobiece. W czasie

zgromadzenia odbędzie się zbiórka pieniędzy, które przesłane zostaną p. Helenie Sikorskiej na fundusz pomocy dzieciom polskim.

W m. Windber (Pennsylvania) zorganizowało Towarzystwo „Sokół” zbiórkę pieniędzy na fundusz pomocy dzieciom polskim.

*

Nowy Jork (PAT.)

W Chicago odbyło się doroczne zebranie grup pomocy ofiarom wojny w Polsce, przy Amerykańskim Czerwonym Krzyżu.

Ks. W. J. Nowicki i p. Antonina Ripa poruszyli w swych przemówieniach sprawę pomocy dzieciom w Polsce nawołując do zbierania funduszy na ten cel.

Konsul Aleks. Moc wystąpił z wnioskiem, aby każda grupa polska przy Amerykańskim Czerwonym Krzyżu zaopiekowała się dziećmi w jednym polskim mieście.

Prezeska Związku Kobiet Polskich w St. Zjedn. p. Honorata Wołowska oświadczyła, że Komitety pomocy dzieciom polskim założone w St. Zjedn. zbierają pieniądze na fundusz pomocy, które przesłane zostaną p. Helenie Sikorskiej.

26 listopada 1943 r.

TRZECIE DZIECKO

W małych, skromnych pokoikach, zarzuconych licznymi książkami, wykazami, metrykami, świadectwami lekarskimi i stosami listów, gdzieś w sąsiedztwie Belgrave Square przy Halkin Street, mieści się Biuro Opieki nad Żołnierzem M.O.N. czyli innymi słowy – Wydział dla Spraw Rodzin Wojskowych.

Zadaniem biura jest opieka nad żonami i dziećmi jeńców, poległych, zmarłych, internowanych, zaginionych i pozostałych w Kraju. Oprócz tego, biuro zajmuje się innymi sprawami rodzin wojskowych. Zakres działania jest bardzo szeroki. Największą troską tego wydziału jest opieka nad żonami i dziećmi polskich żołnierzy rozrzuconych po świecie, nie wyłączając Afryki, Bliskiego Wschodu, Ameryki i t.d.

Biuro rodzin wojskowych udziela również zasiłków rodzinom żołnierzy polskich od plutonowego włącznie, dzięki pomocy Ministerstwa Pracy i Opieki. Wspomniane zasiłki, chociaż skromne, są dużą pomocą dla żon i dzieci zrodzonych z małżeństw polsko-szkockich.

Ten temat specjalnie nas interesuje, więc zasypujemy rozmówców pytaniami. Odpowiedź stale powtarza się: Cała masa ludzi się żeni – trudno, przecież to 5 rok wojny i lata lecą! ... Objaw zupełnie naturalny.

- Ile już zawarto małżeństw na terenie W. Brytanii?

- Trudno określić liczbę. Nasze biuro rejestruje jedynie tych, którzy zwrócili się do nas bezpośrednio. Jest wiele małżeństw dobrze sytuowanych, więc nie zwracają się o pomoc, jak również nie dają żadnego znaku życia.

- No chyba – wtrąca się do rozmowy urzędujący kapral – niektórym nawet bardzo dobrze się powodzi, więc poco mają zabierać grosz innym. Słyszałem nawet o takim przypadku, że jeden z podporuczników już w niemłodym wieku, miał poślubić pewną Szkotkę. Już była określona data ślubu i nagle niedoszłemu małżonkowi umiera narzeczona. W spadku pozostawiła mu tylko £ 10.000. To tylko oderwany przykład dorzuca kapral.

- Ogółem w naszym biurze – ciągnie dalej rozmówca - zarejestrowanych jest ponad 530 małżeństw.

- Czy wszystkie małżeństwa posiadają dzieci?

- Nie, jest wiele małżeństw bezdzietnych. Mniej więcej co dziesiąte jest bezdzietne, lecz przeważnie są rodziny z jednym dzieckiem, z dwojgiem a nawet mamy małżeństwo, które posiada już trzecie dziecko, najcenniejszy dorobek z okresu wojny.

- Więc już urodziło się trzecie dziecko z małżeństwa polsko-szkockiego? – pytam nieco zdziwiony.

- O tak, proszę nie zapominać, że lata lecą a małżeństwo to było jednym z pierwszych w W. Brytanii. Szczęśliwym ojcem jest kapral lotnictwa p. F. z Lublina. Pierwsze dziecko urodziło się państwu F. w czerwcu 1941 roku, drugie w lipcu 1942, a trzecie we wrześniu 1943.

- Czy mogę dowiedzieć się jakie są imiona dzieci?

- Sądzę, że rodzice nie wezmą mi za złe, jeżeli wymienię imiona tej miłej trójki. Pierwsza jest Krystyna, drugi Julisz, trzecia Barbara.

W tym momencie przerywa rozmowę miły kapral, pracowita pszczołka w Rodzinie Wojskowej: Panie majorze, pozwolę sobie wtrącić, że małżeństwo to jeszcze nie pobiło rekordu. Dowiedziałem się, że jeden z oficerów poślubił wdowę z trojgiem dzieci. Obecnie jest już ojcem pięciorga dzieci! Ostatnio urodziły mu się bliźnięta. ...

Notuję i ten szczegół.

- Czy wszystkie dzieci otrzymują polskie imiona?

- Nie wszystkie. Rodzice różnie nadają imiona swym ukochanym.

Spotykamy bardzo często takie imiona jak: Zygmunt – Douglas, Jan – Darian, Władysław – Robert, Zygmunt – Hugo, Antoni – Adrian, Stanisław – Angus lub Agnes - Helena, Moira – Zofja, Violet – Maria. Trafiają się małżeństwa, które nadają dzieciom imiona tylko angielskie lub szkockie. Mamy n.p. nazwisko o brzmieniu czysto polskim, stare nazwisko – a syn otrzymał imiona: George, Norman, lub dziewczynka, posiadająca nazwisko wybitnie polskie z końcówką na „ski”: Margaret, Eleonor...

Dla ciekawości rzucam okiem po długim wykazie małżeństw polsko-szkockich. Żony przyjęły nazwiska mężów, bardzo często o brzmieniu ludowym, a są też stare nazwiska o pewnej wiekowej tradycji. Niektóre połączenia imion z nazwiskami brzmią oryginalnie i będą trwałym dokumentem przyjaźni polsko-szkockiej.

Dla przykładu pozwolę sobie zacytować kilka nazwisk, nazwisk fikcyjnych, ażeby nie zdradzać oryginalnych. Spotyka się nazwiska żon polskich żołnierzy jak n.p. Bławatek Betty, Ponczek Daisy, Grudka Rhoda, Kluska Charlotte, Ścieżka Margaret lub Olchowska Mabel, Skrzydłowska Bernadette, Twardowska Cathleen i inne.

- Lista nie kończy się – informuje mnie rozmówca – codziennie poczta przynosi nowe zawiadomienia o zawartych małżeństwach, o nowym potomku, który jest szczęściem w tej małej rodzinie wojskowo-szkockiej. Rodzice przysyłają nawet fotografie bobasów, jako rzeczowy dowód, ażeby nie wyłoniły się jakieś wątpliwości w kartotekach biura. Przychodzą też świadectwa lekarskie zawiadamiające i zwracające się z prośbą o zarezerwowanie jednej rubryczki w księgach dla przyszłego obywatela Polski, który oczekiwany jest niebawem. ...

Zdarzają się też listy szczere, rozbijające, które zawiadamiają, że „potomek będzie około 10 grudnia, więc proszę już przygotować zasiłek. ...

Każde pismo jest cenną informacją dla biura. Wszystkie listy są skrupulatnie przechowywane, ozdabiane numerkami, dopiskami i pieczętkami.

A kiedy zbliża się wieczór, goniec Rodziny Wojskowej mknie na rowerze z dużą torbą w stronę urzędu pocztowego. Wiezie on listy, odpowiedzi, przekazy, tym, którzy oczekują pomocy i opieki ze strony Rodziny Wojskowej. Biuro to nie tylko udziela materialnej pomocy, lecz służy także serdecznymi radami.



Basia z Londynu – jedno z dzieci polsko-angielskich.

1 listopada 1943 r.



Sprzedawca gazet w Warszawie

ARCYB. SPELLMAN O DZIECIACH POLSKICH

Nowy Jork. (PAT).

Arcybiskup Nowego Jorku Spellman ogłasza w artykule na łamach „Colliers Magazine” wspomnienia ze swej podróży światowej pisząc m.in.:

W Tyberiadzie nad jeziorem Galilejskim przebywałem z O. O. Franciszkanami. Powitali mnie w nader serdeczny sposób nie tylko zakonnicy, ale także dzieci polskie, uchodźcy, mieszkający w szkole klasztornej. Chciałem być następnego dnia w Nazarecie, ale ponieważ dzieci polskie zatrzymały mnie wśród siebie, byłem obecny na Mszy Św. w kościele parafialnym i udzieliłem im Komunii Św. W Nazarecie udałem się do Kolegium, gdzie kwateruje wielu chłopców polskich, sieroty w wieku 12-18 lat, których nauczyciele polscy uczą różnych przedmiotów w zakresie szkoły średniej. Byłem wśród nich godzinę. W dniu 3-maja wypada polskie święto narodowe i brałem udział w jego obchodzie w Kairze.

27 listopada 1943 r.

DOM MATKI I DZIECKA P.C.K.

Jednym z najtrudniejszych, a zarazem najważniejszych zajęć dla kobiet polskich na emigracji jest być żoną i matką. Brak służby, trudności z otrzymaniem jakiegokolwiek pomocy sprawiają, że sytuacja młodej matki jest naprawdę ciężka. Kobiety w wojsku mają swoje kantyny, kluby, kuchnie, w których otrzymują regularnie posiłek, kobiety w fabrykach mają zorganizowane przez instytucje żłóbki, gdzie mogą zostawić swoje dzieci, wspólne kuchnie itd. Specjalnie dobrane chóry i zespoły artystyczne uprzyjemniają im pracę. Ale kobieta-żona, kobieta-matka jest pozbawiona wszelkiej pomocy. Niejednokrotnie ma pozostawiony swej pieczy domek kilkupokojowy i rodzinę złożoną z kilku osób. W domu tym musi wszystko zrobić, ugotować obiad dla męża i dzieci. Poza tym stać musi w ogonku po różne artykuły aprowizacyjne, prać, prasować, opiekować się dziećmi.

Dziecko polskie urodzone na ziemi brytyjskiej to nowy Polak, mający zastąpić tych, którzy codziennie odchodzą nazawsze w obozach koncentracyjnych niemieckich, zastąpić dzieci, które giną z głodu i nędzy w Kraju pod okupacją. Ten ubytek ludności trzeba w możliwie krótkim czasie wyrównać, ażeby odrestaurować siły narodu. Musimy mieć dostatecznie dużo ludzi, ażeby obsadzić nam się należące tereny i żeby polskość na nich utrzymać. Rozprawiając na tematy populacyjne nie wielu ludzi myśli o daniu kobiecie polskiej jak najlepszych warunków urodzenia i wychowania dziecka.

Sprawą tą zajął się Polski Czerwony Krzyż. P.C.K. opiekował się dzieckiem i matką już w Polsce. Wszystkie placówki P.C.K. działające w różnych krajach europejskich, Ameryki, Afryki a zwłaszcza na Bliskim Wschodzie roztaczają opiekę nad polską matką i dzieckiem.

W roku bieżącym P.C.K. utworzył w Edynburgu „Dom dziecka i matki”. Znalazienie domu odpowiedniego na ten cel w Edynburgh (ze względu na bliskość polskiego szpitala im. Paderewskiego) było niezmiernie trudnym zagadnieniem. Dom jednak znaleziono. Leży na wzgórzu nad pięknym jeziorem w pobliżu Edynburgh’a w dzielnicy Portobello. W starym domu pełnym zakamarków zamieszkało od początku serce. Z całym poświęceniem, z kobiecym zrozumieniem potrzeby takiej instytucji zabrały się zarządzające

panie oraz delegatura P.C.K. do pracy, przygotowując się na przyjęcie młodego pokolenia wojennego Polski.

Wymalowano kilkanaście łóżeczek dzieciennych na różowo i niebiesko, zakupiono szafy, półki, urządzono pokoje dla matek, wygodny sitting room i jadalnię. P.C.K. przysłał z Londynu wózki, w których można wywozić niemowlęta do ogrodu.

W domu tym matka polska może spędzić 2 tygodnie przed porodem, dni, w których chce być jak najdalej od codziennych trosk i kiedy wymaga opieki. Poród odbywa się zazwyczaj w szpitalu Paderewskiego, z którym Dom Dziecka i Matki współpracuje. Lekarze odwiedzają chore, dzieci mają stałą opiekę wykwalifikowanych pielęgniarek oraz lekarza pediatry. Po odbyciu porodu matka i niemowlę wracają do Domu Matki i Dziecka, gdzie oboje znajdują fachową i troskliwą opiekę. Matki mają do swojej dyspozycji wygodne pokoje, są obsłużone, otrzymują posiłek 4 razy dziennie oraz rano i wieczór dodatkowe mleko. Dzieci mają wspólne sypialnie, w których noc i dzień dyżurują pielęgniarki, są przewijane, karmione w stałych godzinach, kąpane w niewielkich wanienkach. W osobnym pokoju przygotowuje się w możliwie najbardziej higienicznych warunkach mleko dla niemowląt, które nie są karmione przez matkę. W dni pogodne dzieci przebywają cały dzień na powietrzu w ogrodzie.

Dom może pomieścić 12 kobiet z dziećmi. Zapotrzebowanie jednak przekracza te możliwości, zwłaszcza jeżeli chodzi o dzieci. W domu tym bowiem matki, które są chore lub przebywają w szpitalu, mogą zostawiać dzieci.

Opiekunki dzieci są to wszystko osoby oddające się swej pracy z całym poświęceniem i radością. Personel jest w połowie polski, w połowie brytyjski i pracuje w doskonałej harmonii. Ziemia szkocka jest gościnna tak dla żołnierzy polskich, jak i dla ich rodzin i dzieci.

Z. LESZCZYC.

17 grudnia 1943 r.



Chłopcy ci, z których najstarszy nie ma 15 lat, przybyli niedawno do Anglii ze Środkowego Wschodu. Mają oni za sobą Rosję, Persję, Irak, Palestynę i Egipt. Chcą być lotnikami.

21 grudnia 1943 r.

O POMOCY DLA UCHODźCÓW POLSKICH

Ponad 40 tysięcy uchodźców polskich w różnych krajach na Wschodzie, 5 tysięcy w Wielkiej Brytanii i 3500 w obu Amerykach, oraz dziesiątki tysięcy uchodźców z Polski znajdujących się w innych krajach Europy pod okupacją lub wpływami niemieckimi – są przedmiotem nieustającej troski rządu polskiego. Choć dla tych ostatnich pomoc bezpośrednia nie jest możliwą, potrzeby ogółu uchodźców są coraz większe, a pomoc – w miarę rosnącej drożyzny – coraz bardziej kosztowna.

12 tysięcy ludności polskiej w Persji, 5 tysięcy w Indjach, 15 tysięcy w Afryce, 7 tysięcy w Palestynie, 1500 w Meksyku, trzeba całkowicie wyżywić, ubrać, zaopatrzyć we wszelkiego rodzaju sprzęt domowy, tak, aby po ciężkich wędrówkach i przejściach pierwszych lat wojny, zorganizować im życie obecne w warunkach możliwie zbliżonych do normalnych. Organizmy wygłodzone i wyczerpane trzeba dożywiać specjalnie, szczególnie jeśli chodzi o dzieci. Ludziom, którzy zostali wyewakuowani z Rosji boso i w łachmanach, trzeba dostarczyć kilku zmian bielizny, ubrania, obuwia. Pamiętać przytem należy, że po skończonej wojnie nie zastaną oni w Kraju żadnych zasobów, zniszczonych kilkuletnią rabunkową gospodarką okupanta, i że to co dostaną teraz, będzie im musiało starczyć jeszcze na długi okres czasu.

Opieka lekarska nad uchodźcami musi być szczególnie troskliwa, aby zwalczyć malarię i szereg różnych chorób, wywiezionych z Rosji, aby wyreperować zęby zniszczone paroletnim brakiem odpowiedniego pokarmu, oraz aby dać odpowiednią pomoc żołnierzom zwalnianym z wojska i inwalidom, których liczba się stale zwiększa. Dla około 17-tu tysięcy wyewakuowanych dzieci trzeba założyć i prowadzić przedszkola, szkoły powszechne, gimnazja, licea, szkoły zawodowe, zaopatrzyć je w pomoce szkolne, podręczniki, zeszyty itp. Dla całej ludności trzeba zorganizować kursy, świetlice, biblioteki, czytelnie, pisma, teatry i chóry, boiska sportowe, jak również prowadzić różne zajęcia kulturalno-oświatowe. Wreszcie trzeba stworzyć warsztaty pracy rolne i rękodzielnicze oraz zaopatrzyć je w sprzęt i narzędzia, tak, aby każdy zdolny do pracy mógł czas swój wypełnić pożytecznym zajęciem.

POMOC OD POLONJI AMERYKAŃSKIEJ

Na zaspokojenie tych wszystkich potrzeb niezbędne są ogromne i coraz większe sumy pieniędzy, które rząd polski musi czerpać z pożyczki od rządu brytyjskiego. W tych warunkach niezmiernie ważnym czynnikiem pomocy staje się więc akcja reliefowa organizacji społecznych.

Polonia Amerykańska przez cały czas wojny wykazywała wielkie zrozumienie dla potrzeb ludności polskiej i starała się w miarę swych możliwości i zebranych środków, udzielać jej pomocy.

Możliwości te zwiększyły się znacznie z chwilą utworzenia National War Fund, która to instytucja objęła całość pomocy dla różnych narodów, przez

zunifikowanie wszelkich zbiorów dobroczynnych na terenie Stanów Zjednoczonych. Dla udziału w tej ogólnej puli, Polonia Amerykańska powołała specjalną organizację Polish War Relief Inc., i uzyskała na potrzeby polskie w r. 1943 pokaźną sumę 3 milionów dolarów.

Należy się spodziewać, że zrozumienie wielkiego wzrostu potrzeb ludności polskiej w 5-tym roku wojny przyczyni się do znacznego podniesienia budżetu Polish War Relief'u na rok 1944 również i do jak najlepszego wykorzystania uzyskanych sum, tak niezbędnych dla uchodźców zubożałych i gnębionych wieloletnią tułaczką poza Krajem.

POLACY W ŚWIECIE

UCHODŹCY POLSCY W RUMUNII

W ulotce drukowanej w Bukareszcie pod tytułem – „Uchodźca Polski w Rumunii” znajdujemy następujące wiadomości o życiu Polaków w Rumunii, jak również o działalności „Komisji Pomocy”.

Dowiadujemy się, że wspomniany komitet udziela stałych zasiłków uchodźcom polskim w Rumunii. Zasiłki te jednak nie wystarczają na ogólne potrzeby. Pierwszą formą pomocy było dożywianie dzieci i młodzieży podjęte już w 1940-tym roku. Pierwsza stawka wynosiła 7 lei dziennie, co odpowiadało na prowincji cenie 1 litra mleka.

Najpowszedniejszą jednak formą pomocy jest wydawanie dzieciom posiłków w szkołach i przedszkolach. W 1941-szym roku komitet pomocy podwyższył stawkę dzienną na 10 lei. W maju stawkę tą podniesiono dla dzieci i młodzieży na 15 lei.

W styczniu 1943 roku z akcji dożywiania korzystało 304 dzieci. Miesięcznie wydatki tej akcji wynoszą 123,845 lei. Stawki pomocy dla chorych wynoszą od 600 do 900 lei miesięcznie. Wspomnieć należy, że uchodźcy nie otrzymujący zasiłków oficjalnych, otrzymują tylko pomoc w szczególnych okolicznościach. Przeciętnie zapomoga wynosi 70 lei dziennie na osobę dorosłą i 50 lei na dziecko. Z powyższych pomocy korzysta łącznie 538 osób, co stanowi 18% ogółu uchodźców. Po odliczeniu pracujących uchodźców, połowa mniej więcej korzysta z akcji komitetu.

Okolo 100 studentów na wyższych uczelniach bukareszteńskich korzysta z innych form pomocy. Ostatnio zanotowano ożywioną działalność sekcji szkolenia zawodowego. Wszędzie organizuje się kursy wyrobu pantofli, galanterji damskiej i męskiej, kursy kroju i szycia.

Wśród Rumunów duże zainteresowanie wzbudzają polskie modele pantofli. W ubiegłym roku Komitet przeprowadził gwiazdkową akcję zbiórkową uzyskując 380,000 lei. Każde z dzieci polskich otrzymało odzież lub materiał na ubranie.

Komitet ogłosił również konkurs na pracę naukową, a 4 najlepsze zostały nagrodzone.

24 grudnia 1943 r.

O LOSIE ZESŁAŃCÓW POLSKICH

„MANCHESTER GUARDIAN” zamieszcza obszerny list p. Elmy Dangerfield, która opisuje los Polaków zesłanych do Rosji. Autorka listu daje obraz tragicznych przeżyć półtora milionowej masy mężczyzn, kobiet i dzieci polskich, wywiezionych z ziem wschodnich i z krajów bałtyckich. Straszliwe warunki klimatyczne i mieszkaniowe oraz brak żywności sprawiły, że stopa śmiertelności wśród tych nieszczęśliwych była zastraszająca.

Na skutek układu polsko-sowieckiego w 1941 roku rząd sowiecki zobowiązał się do zwolnienia obywateli polskich z obozów pracy przymusowej i miejsc zesłania. Warunki poprawiły się znacznie w roku 1942, gdy Ambasada R.P. w Rosji zorganizowała akcję pomocy. W 1943 r. władze sowieckie zamknęły jednak wszystkie instytucje pomocy. P. Dangerfield przypomina, że rząd sowiecki odrzucił propozycję rządu polskiego ewakuowania 50,000 dzieci polskich do krajów aljanckich. Od chwili zawieszenia stosunków polsko-sowieckich zahamowana została dalsza ewakuacja i żadna pomoc na większą skalę nie jest wysyłana.

DZIECI GINĄ!

P. Dangerfield domaga się rozpoczęcia dalszej ewakuacji dzieci polskich. „Zdaję sobie sprawę – pisze – z trudności takiej imprezy. Odległości są olbrzymie a transport, którego jest mało, przeciążony jest na skutek warunków wojennych. Lecz **dzieci giną i nikt nie może przewidzieć ile z nich przetrwa tą**

czwartą zimę zesłania.” Rodziny tych Polaków, którzy służyli w armii polskiej lub armjach aljanckich winni przede wszystkim otrzymać prawo opuszczenia Rosji. „Gdyby zaś w W. Brytanii lub w Ameryce znaleźli się szlachetni ludzie, pragnący zaadoptować pewną liczbę tych dzieci, to niewątpliwie możnaby od władz rosyjskich otrzymać zgodę na położenie kresu temu niezasłużonemu wygnaniu.” – kończy p. Dangerfield swój apel.

W związku z tym listem „Manchester Guardian” zamieszcza artykuł wstępny o losie zesłańców w Rosji. W wyniku układu polsko-sowieckiego, zawartego po ataku Niemiec na Z.S.R.R. powstała możliwość uwolnienia jeńców i udzielania im pomocy. Lecz stosunki między Rosją a Polską pogarszały się stale aż doszło do ich całkowitego zebrania. Teraz sytuacja tych jeńców, którzy pozostali w Rosji wydaje się beznadziejna. „Lecz tego właśnie nie możemy zrozumieć.” – pisze dziennik.

28 grudnia 1943 r.

Polacy z Rosji w drodze do Meksyku

„TE DZIECI MOGĄ BYĆ DUMĄ KAŻDEGO NARODU”

(Korespondencja własna „Dziennika Polskiego.”)

Los Angeles w grudniu.

W LISTOPADZIE przybył do Meksyku, przez Bombaj i Los Angeles drugi z rzędu transport Polaków z Rosji. Transport ten liczył 727 osób w czym 223 kobiety i 408 dzieci.

Stan fizyczny, wygląd zewnętrzny, samopoczucie i dyscyplina tego transportu, w porównaniu z pierwszym były znacznie lepsze. Organizację można uważać za bez zarzutu, a to głównie dzięki świetnemu kierownictwu sierocińca, jak również dzięki bardzo starannym przygotowaniom, poczynionym przez władze emigracyjne i wojskowe amerykańskie. Całość pobytu i odprawy transportu w Los Angeles odbyły już uprzednio przygotowane, sprawne i bez najmniejszych incydentów, przy wzajemnym podziwieniu ze strony amerykańskiej, dla dyscypliny i morale uchodźców, a ze strony uchodźców dla serdeczności i staranności przyjęcia transportu przez Amerykanów.

PRZEŁADOWANIE W CIĄGU 30 MINUT

Dla ilustracji podamy, że przeładowanie całego transportu ze statku do czekających autobusów trwało 30 minut. Baraki w obozie wojskowym zaopatrzone w wielkie napisy polskie.

Wyżywienie w obozie było bardzo obfite i dobrze przyrządzone. Staranność taka, że np. gdy tylko lekarz wojskowy zauważył awitamonozę dzieci, rozkazał dawać im na pierwsze śniadanie dodatkowe dwie pomarańcze i powiększył i tak już obfitą rację mleka. Podobnie gdy zauważył on zły stan uzębienia dzieci i starszych wydał instrukcję, by wszyscy, mający zęby do leczenia natychmiast udali się do obozowych dentystów, gdzie będą leczeni za darmo. Gdy dzieci pierwszego dnia nie miały się czym bawić, otrzymały od zarządu obozu sześć piłek nożnych.

Do obozu codziennie przysyłana była specjalna orkiestra wojskowa, by uchodźcom w ciągu godziny umilać czas. Na każdym kroku, w najdrobniejszych nawet szczegółach obserwowano troskę i serdeczność. Podobnie też i ze strony władz emigracyjnych, które np. wystarały się o specjalne pielęgniarki mówiące po polsku i – mimo dużych trudności – zapewniły wystarczającą ilość wagonów sypialnych dla osób starszych, nieomagających i malutkich dzieci. Menu posiłku w drodze do Meksyku zostało specjalnie dobrane, przyczem koszt jednego posiłku wynosił 1 dolara, zatem – od osoby po trzy dolary dziennie.

SERDECZNOŚĆ AMERYKANÓW

Nie będzie przesadą, gdy napiszemy, że władze amerykańskie wprost prześcigały się w okazaniu uchodźcom, a zwłaszcza dzieciom, wszelkiej możliwej troski i serdeczności.

Polacy w Los Angeles, przygotowując się już oddawna na przyjęcie uchodźców, zorganizowali specjalny komitet współdziałający z American Friends Service Committee i Jewish Welfare Society. Obdarzono uchodźców odzieżą, bielizną, drobnymi podarkami, jak papierosy, fajki, papier listowy, książki, gazety itp. Wszystkie dzieci otrzymały prócz tego specjalne przygotowane paczki indywidualne, zawierające pończochy, chustki, przybory do pisania, gry, zabawki, cukierki i owoce.

Ponieważ stan obuwia dzieci był fatalny – znaczna część nawet była bosa – zakupiono 400 par nowych bucików którymi obdarzone zostały w pierwszym rzędzie sieroty.

ŁZY I OKLASKI

Amerykańscy żołnierze obozów w Los Angeles, ujęci zachowaniem sierot, złożyli sumę 200 dolarów na rzecz sierocińca. Znany komentator radiowy Dan Wilson zorganizował codzienne wyświetlanie filmów dla uchodźców, przyczem specjalnie wyświetlane były dla dzieci filmy Disney'a. Najwięcej jednak serca i podziwu wzbudził sierociniec. Sieroty wzbudzały wprost zachwyty swym zachowaniem się, dyscypliną, porządkiem i łożeniem. Ich kilkakrotne produkcje artystyczne, tańce i śpiewy chóralne wywoływały łzy i burze oklasków. M. Windain, śpiewak Metropole Opera z Nowego Yorku, oświadczył że produkcje te stoją na „najlepszej wyżynie zawodowej” i w Ameryce czy na scenie, czy też w filmie miałyby ogromne powodzenie. Dyrektor immigracyjny pan Del Guaracie, dla którego jedno z krótkich przedstawień było urządzone wzruszony wszedł na scenę i w pierwszych słowach swego podziękowania oświadczył, że „te dzieci mogą być dumą każdego narodu, są one wspaniałe, i naród, który je wydał jest tak wielki, że zginąć nie może.”

Charakterystycznym jest, że ze wszystkich stron, i to nie tylko od Polaków w Los Angeles, ale od oficerów i żołnierzy amerykańskich nadchodzą zapytania, co do możliwości adopcji sierot.

S.A.

31 grudnia 1943/1 stycznia 1944 r.



Niedawno odbył się w Teheranie rewanżowy mecz piłki nożnej, pomiędzy drużynami Polski i Persji, zakończony zwycięstwem Persów. Poprzednio wygrała drużyna polska. Zdjęcia z meczu otrzymaliśmy wczoraj. Przed meczem piłki nożnej pomiędzy drużyną polską a perską, młodzież polska wręczyła Szachowi Persji i jego Małżonce kwiaty o barwach narodowych.



11 stycznia 1944 r.

„Dostałam lalkę . . .”

Wraz z P.C.K. otrzymaliśmy list z podziękowaniem od pewnej małej Polki z Edynburga. – Red.

Kochany Polski Czerwony Krzyżu!

Wczoraj (24 grudnia ub. r. – przyp. Red.) była wielka uroczystość w Domu Matki i Dziecka, w którym ja mieszkam. Była śliczna choinka i dużo dzieci. Pod choinką same cuda.

Dziewczynki dostały piękne lalki, chłopcyki – pieski, piłki i niedźwiadki. Dostałyśmy także różowe albo niebieskie grzebyki i pachnące mydła.

Ja dostałam najpiękniejszą lalkę, z niebieskimi oczami w różowej sukience, która ma także majteczki koronkowe, takie jak pragnęłam a Pani Kierowniczka powiedziała mi, że uszyje jeszcze jedną parę takich samych.

Za to wszystko dziękujemy Ci Kochany Czerwony Krzyżu z całego serca. Za tę radość, jaką mamy, podziękuj także tym kochanym Panom z „Dziennika Żołnierza”, którzy nas tak kochają i w artykule „Sprawa Pilna” myśleli o nas i przez Ciebie tyle nam radości sprawili.

Ściskam Cię serdecznie Kochany Czerwony Krzyżu, a gdy wrócimy do Polski, to Cię jeszcze serdeczniej uściskamy, za wszystkie dzieci i za Marcysię, i za Irenkę i za Helenkę. Twoja.

- ZOSIA B.

13 stycznia 1944 r.

SZKOŁY, PRACOWNIE, WARSZTATY, ŚWIETLICE

Uchodźcy polscy w Afryce Wschodniej

Warunki życia naszych uchodźców, rozsianych po całym świecie, zawsze budzą wśród nas zrozumiałe zainteresowanie. Fantastyczne podróże, niestety przymusowe, stały się udziałem wielu tysięcy obywateli polskich. Wielu z nich dotarło w swej wędrówce uchodźczej na ziemię, na które noga polska przed tym chyba nigdy nie stąpiła. W Tanganice, w czterech osiedlach żyje przeszło pięciotysięczna kolonia polska, składająca się przeważnie z kobiet i dzieci. Mieszkają oni w osiedlach, których same nazwy – Tengeru, Kondo, Ifunda, Kidugala – brzmią dziwnie w naszych uszach. Jak wygląda okolica, w której Polacy przetrwać mają resztę wojny? Jaki jest tam klimat i warunki zdrowotne, wreszcie - czym zajmują się mieszkańcy tych osiedli?

Jakby dla załagodzenia nostalgii krajobraz afrykański do złudzenia przypomina nasze miejscowości podgórskie. Teren jest łagodnie falisty, a gleba rodzi niemal wszystkie polskie ziemniaki i zboża. Prócz tego rosną tu naturalnie zwykłe owoce tropikalne, jak banany i papaje. Stąd też pochodzi najdroższy gatunek kawy zwanej „Kilimandżaro”.

Również klimat jest nieco zbliżony do naszego chociaż pojęcie miesięcy „letnich” i „zimowych” zupełnie się zmieniło. „Miesiące zimowe” – marzec, kwiecień, maj i czerwiec – przypominają nasze słotne lato. Pozostałe miesiące „letnie” są nieco gorętsze od naszego lata, chociaż temperatura nie przekracza 21 C.

Największym osiedlem (3.000 mieszkańców) jest Tengeru. Osiedle to jest bardzo malowniczo położone, u podnóża góry Meru (4.558 m.) w kompleksie gór otaczających Kilimandżaro. Osłonięte od północy górami ma klimat umiarkowany. Gleba jest żyzna i nadaje się szczególnie pod uprawę jarzyn. Jakże paradoksalny musi się wydać krajobraz, na którym w dali widać olbrzymi szczyt Kilimandżaro, a u stóp gór rosną wspaniałe buraki, marchew, cebula i kalafior. Uprawia się tu również pszenicę i żyto.

Uchodźcy polscy są pierwszymi białymi mieszkańcami tego niezwykłego terenu, który ze względów klimatycznych wybrano na osiedle. Brak było oczywiście budynków mieszkalnych. Lecz w krótkim czasie administracja angielska wybudowała 947 domków, a właściwie okrągłych chat, typu

używanego przez krajowców. System budowy jest bardzo prosty. Ustawia się szkielet z półtora calowych drągów, oblepia się go gliną i pokrywa stożkowatym dachem z liści bananowych. Domek ma drzwi i jedno okno. Mieszka w nim cztery do pięciu osób. Koszt budowy wynosi około 4 funtów. Wobec obfitości drzewa na stokach Meru o budulec było nie trudno. Rzeka przepływająca przez osiedle dostarcza wody do picia (zbudowany jest specjalny wodociąg i motorowa pompa).

Na 3 tysiące mieszkańców Tengeru – 1,243 to dzieci. Siłą rzeczy więc malownicze to osiedle stało się ośrodkiem szkolnym. Istnieje tam szkoła powszechna i pierwsze klasy gimnazjum, a nawet szkoła zawodowa. Niestety, brak jest odpowiednich budynków szkolnych. Podczas dni słotnych dzieci muszą się mieścić w ciasnych „okrągłakach” po 20 w jednym domku. Ilość nauczycieli jest również niewystarczająca.

Stan zdrowia wśród mieszkańców Tengeru jest doskonały. Warunki sanitarne są dobre, a szpitalik nie jest nawet w połowie wykorzystany. Znacznie gorsze są warunki w innym, mniejszym zresztą osiedlu – Kondoa. Tutaj stan zdrowia pozostawia wiele do życzenia. Na 400 osób, w tym 173 dzieci w ubiegłym roku zanotowano aż 226 wypadków malarii. Rzeczka, wypływająca ze źródła dostarczającego wody do picia tworzy niezdrowe rozlewy i kałuże.

Obóz Kondoa był pierwotnie przewidziany na obóz włoskich jeńców wojennych. Zmieniono jednak plany i osiedlono tam Polaków, nie badając uprzednio dokładnie warunków sanitarnych. Obecnie toczą się pertraktacje o zupełne zlikwidowanie osiedla. Narazie malarycznie chorzy przesiedlani są do innych obozów w miejscowościach lepiej położonych. Mieszkańcy Kondoa mieszczą się w 20 chatkach o glinianych ścianach i dachach krytych słomą. Poza tym są dwie olbrzymie wspólne jadalnie, budynki szkolne i świetlica. Kondoa posiada również niezmiernie przydatną pracownię krawiecką.

Zupełnie odmienny charakter ma trzecie osiedle polskie – Ifunda. Położone na rozległych (5,000 akrów) terenach płaskich, projektowane było jako ośrodek rolniczy. Po dokładniejszych badaniach ekspertów okazało się jednak, że nie opłaca się uprawiać więcej jak 200-300 akrów, które już zostały zagospodarowane. Klimat jest tu bardzo zdrowy a warunki mieszkaniowe lepsze niż w innych osiedlach. Ifunda liczy 822 osoby w tym 317 dzieci. Uchodźcy mieszkają w 100 domkach dwuizbowych. Złoża doskonałej gliny

pozwołyły osiedlu na własny wyrób wypalanej cegły, specjalnie uruchomionej przez ludność cegielni. Osiedle posiada więc zabudowania murowane.

Stworzenie w Ifundzie ośrodka rolnego nie udało się. Zaprowadzono tam wobec tego gospodarkę mleczną, która stale się rozwija.

W Ifundzie istnieje szkoła powszechna i przedszkole dla młodszych dzieci. Ośrodkiem ożywionego „życia towarzyskiego” jest obszerna świetlica a radio z głośnikami daje uczucie kontaktu ze światem. Wydaje się, że Ifunda jest może jednym z najpogodniejszych osiedli w Tanganice.

Kidugala, położona dalej na południe ma równie doskonałe warunki zdrowotne, lecz brak komunikacji utrudnia dowóz materiałów budowlanych. W Kidugali znajduje się kompleks domów, pozostawionych przez zlikwidowaną w pierwszych miesiącach wojny protestancką misję niemiecką. Osiedlono tutaj 784 uchodźców. W liczbie tej znajduje się 406 kobiet i 341 dzieci. Tutaj również uruchomiono szkołę powszechną i przedszkole. Prawie wszyscy dorośli mieszkańcy osiedla są zatrudnieni. Czynna jest szwalnia, warsztat krawiecki, pracownia lalek, haftów, warsztat szewski, ślusarsko-mechaniczny, a nawet wytwórnia marmelady. Fakt zorganizowania warsztatów pracy przyczynił się w dużym stopniu do utrzymania dobrego nastroju wśród uchodźców, którzy z wiarą w sercu oczekują w dalekiej Afryce chwili powrotu do Kraju.

18 lutego 1944 r.

Głód, deportacje, choroby...

O pomoc dla dzieci polskich

Konieczność niesienia natychmiastowej pomocy dzieciom polskim w Polsce oraz należyte przygotowanie powojennej akcji pomocy były przedmiotem zebrania, które w środę dn. 16 bm. w Ognisku Polskim w Londynie zgromadziło licznych przedstawicieli angielskich instytucji społecznych i dobroczynnych.

Zebraniu przewodniczył min. Drohojowski, a przemówienia wygłosili min. spraw wewnętrznych Banaczyk i min. opieki społecznej Stańczyk.

Min. Banaczyk przedstawił w ogólnym zarysie niemiecką politykę eksterminacyjną, która w pierwszym rzędzie uderza w dzieci polskie. Min.

Banaczyk stwierdził, że **konieczne jest natychmiastowe podjęcie pomocy zakrojonej na szeroką skalę**. Pomoc dzieciom polskim powinna przyjąć dwie formy: **natychmiastową akcję pomocy oraz pomoc** po uwolnieniu Kraju, gdy tereny polskie będą oswobodzone. Natychmiastowa pomoc przedstawia pewne trudności, gdyż wiąże się z nią sprawa wyłomu w blokadzie.

Min. Stańczyk stwierdził, że prowadząc walkę z dziećmi Niemcy **uderzają w sposób najbardziej dotkliwy w naród polski**. Należy obmyśleć sposoby niesienia natychmiastowej pomocy, pomimo ograniczeń jakie narzuca wojna gospodarcza.

Jako trzeci mówca głos zabrał p. Maliszewski, który w obszernym udokumentowanym referacie przedstawił dolę dzieci polskich. Niemiecka polityka eksterminacyjna w stosunku do dzieci polskich posługuje się przede wszystkim metodą ograniczenia żywności dla dzieci. W systemie racjonowania dzieci polskie otrzymują jedynie jedną trzecią kalorii przyznawanych dzieciom niemieckim – **a więc o wiele poniżej od minimum wymaganego dla normalnego rozwoju dzieci**. Skutkiem tego niedożywienia są choroby i epidemie. **Blisko 80% dzieci cierpi na anemię, a zdarzają się także liczne przypadki śmierci głodowej**. Wskutek braku lub przepełnienia szpitali normalne leczenie dzieci **jest utrudnione**. Warunki mieszkaniowe są czasami **wręcz potworne**. Do tego dochodzą okrutne sposoby niemieckie, jak porywanie dzieci celem dokonania transfuzji krwi oraz oficjalne **deportacje dzieci** do specjalnych obozów. Starsza młodzież wywożona jest na roboty przymusowe.

Prezes P.C.K. w Londynie Dr. Koskowski omówił następnie położenie dzieci polskich w Polsce z punktu widzenia lekarskiego i dał zebrany szczegółowy obraz akcji pomocy, która zwłaszcza dzięki ofiarom amerykańskim w latach 1940-41 dawała pewne rezultaty. Pomoc ta dochodziła na miejsce, a ponieważ była rozdzielana pod nadzorem międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dochodziła także do osób, dla których była przeznaczona. Liczba dzieci polskich, którym potrzebna jest natychmiastowa pomoc żywnościowa i odzieżowa sięga **525 tysięcy**.

Po referatach odbyła się ożywiona dyskusja, w której brali udział liczni przedstawiciele alianckich organizacji społecznych. Z wielu stron podkreślano, że istnieje precedens dla częściowego uchylenia blokady – a mianowicie pomoc niesiona dzieciom z Grecji. Jeden z mówców podkreślił również konieczność zainteresowania się **losem dzieci polskich w ZSRR**.

Min. Banaczyk i min. Drohojewski udzielali wyjaśnień i odpowiadali na zadawane pytania. Wśród przemawiających obywatelki społeczeństwa angielskiego zabierały również głos znane pisarki Rebecca West i Dorothy Crisp.

Na zakończenie min. Drohojewski podziękował zebranych za liczny udział w konferencji. Żywe zainteresowanie obecnych jest zapowiedzią, że organizacje przez nich reprezentowane nie tylko wezmą udział w akcji pomocy ale przede wszystkim uprzytomnią opinii publicznej jak **katastrofalne jest położenie dzieci polskich.**

21 lutego 1944 r.

LISTY DO REDAKCJI

Pamiętajmy o młodzieży na Wschodzie

Otrzymałem list od swej córki, który daje mi właśnie powód, aby poruszyć sprawę pomocy dla naszych sierot i pólsierot w Palestynie.

Otóż, na Boże Narodzenie 1943, wysłałem do córki i syna do obozów junackich – pierwsze dary gwiazdkowe – od chwili przekroczenia granicy Polskiej. Żona wraz z dziećmi (liczyły one wówczas 10 i 11 lat) po ewakuacji Warszawy – zostali wywiezieni przez bolszewików do Rosji (Sybir), gdzie żona jeszcze jest więziona, a dzieci dzięki temu, że śmiertelnie chorowały, przebywając w tym okresie w ochronce żydowskiej – wydostały się z tą ochronką w styczniu 1943 r. do Iraku. Obecnie są w Palestynie (od maja 1943 r.) – szczęśliwe, że mogą się uczyć!

Wysłane paczki świąteczne zawierały przede wszystkim książki, bo z powodu braku kuponów – trudno wysłać odzież, która zresztą jest tam niepotrzebna, albowiem junacy zaopatrywani są w garderobę w naturze. Natomiast, jest głód książek – i to wielki, a jeszcze bardziej głód serca. Dla sierot. Na dowód - przytaczam kilka wierszy z listu córki: „jest wieczór, po zmęczeniu siedzę jeszcze nad książką. Nagle wpada nasza instruktorka (bardzo miła, młoda pani. Wszystkie bardzo ją kochamy) i z uśmiechem kładzie na moim łóżku paczkę i 9 listów. W pierwszej chwili dosłownie zaniemówiłam, byłam pewna, że tej przesyłki nigdy nie dostanę, gdyż **nikt z naszych dziewcząt przesyłki z Anglii nigdy nie otrzymał.** I trudno mi dziś opisać jakie uczucie opanowało mnie na widok tych rzeczy, które jeszcze miesiąc temu były Twoje –

mój jedyny, Najdroższy Ojczulku. Pomyślałam sobie, że jednak nie zasłużyłam niczym na takie szczęście. Olbrzymia część moich koleżanek nie ma rodziców wogóle i tak dziwnie przykro było mi wtedy, gdy one – patrzyły na moją radość... Książeczka do nabożeństwa jest śliczna, opłatek schowałam, bo jest to święty talizman... a najważniejsze, że te wszystkie rzeczy są „londyńskie”, więc dla tego ogólna sensacja. Co do książek są cudowne, nikt tutaj takich nie ma.”

Ponieważ zbliżają się święta Wielkanocne, więc należałoby „poruszyć” serca „londyńskich” sfer polskich, aby tym właśnie sierotom – tam na Wschodzie – okazać trochę serca i dać dowód, że o nich myśli społeczeństwo polskie na emigracji. Niewątpliwie każda z pań, czy panów, znajdą różne pożyteczne książki, oraz drobiazgi codziennego użytku (chusteczki, pilniczki, portmonetki) i sprawią, iż nadchodzące święta nie będą tam tak bardzo smutne. Mam wrażenie, że adresy do „Młodszych ochotniczek i Junaków” posiada Min. Pracy i Op. Społ., które bardzo solidnie opiekuje się obozami, bo dzieciarnia jest zadowolona. Jednak Rząd nie ma możliwości ani środków na to, aby zaspokoić wszystkie potrzeby.

Sądzę, że Pan Redaktor pobudzi serca naszych rodaków przez podanie krótkiej notatki w Dzienniku i apel ten nie minie bez echa.

Stanisław Wiznerowicz.

27 marca 1944 r.

Marynarze wśród polskich dzieci

Statki Polskiej Marynarki Handlowej pracują na najodleglejszych nawet morzach świata – na Oceanie Indyjskim, na wodach Dalekiego Wschodu, na Pacyfiku. Wiadomości od nich nadchodzą często z paromiesięcznym opóźnieniem. Tak więc teraz dowiedzieliśmy się, iż jeden z dużych statków pasażerskich spędzał święta Bożego Narodzenia w Bombaju. Statek stał na kotwicy, na redzie. Wilję spożyto w zamkniętym gronie załogi. Skromne to było święto, ale marynarze uczcili je w sposób naprawdę wzruszający. Cała załoga, nie wyłączając Brytyjczyków i kolorowych, postanowiła zrezygnować z paczek świątecznych i przekazać je sierotom polskim. Delegacja załogi udała się do obozu polskiego w Kalhapar koło Bombaju, do istniejącego tam polskiego sierocińca. Trudno opisać radość dzieciarni, która otrzymała bogate paczki ze

słodzami i owocami i to w dodatku nie od byle kogo, ale od marynarzy polskich, o których w sierocińcu krążą prawdziwe legendy. Przyjaźń bowiem pomiędzy dziećmi polskimi w Kalhapar i marynarzami jest już dzisiaj starej daty.

Sierociniec przy obozie polskim w Kalhaparze przygarnął dzieci, które straciły rodziców podczas wygnania w Rosji. Kiedy w swoim czasie s/s Kościuszko stał w Bombaju, załoga dowiedziawszy się o powstaniu tego sierocińca postanowiła nim się zająć. Kupiono dla sierocińca radjoodbiornik. Pojechano gromadnie odwiedzić dzieci. Wielu marynarzy postanowiło zaopiekować się poszczególnymi dziećmi, kupując im ubrania i inne niezbędne rzeczy, oraz ofiarowując pieniądze na ich potrzeby. Od tej chwili przyjaźń pomiędzy sierocińcem w Kalhapurze, a marynarzami polskimi została mocno ufundowana.

Załoga innego polskiego statku, w czasie postoju w jednym z portów palestyńskich, związała więzi przyjaźni z junakami, których odwiedziła w obozie, a którzy potem przeżyli chwile prawdziwego wzruszenia odwiedzając polski statek.

Statek pasażerski, który obecnie spędzał Boże Narodzenie w Bombaju, w listopadzie 1942 r. brał udział w inwazji Północnej Afryki. Kiedy wylądowawszy w Algierze polscy marynarze dowiedzieli się, że przebywające tam w liczbie paruset kobiety i dzieci polskie znajdują się w nędzy – zaczęła się prawdziwa wędrówka do ich obozu. Każdy wynosił ze statku z własnych zapasów co mógł i ofiarowywał będącym w potrzebie Polakom. W ten sposób znaczne ilości żywności, odzieży i przeróżnych najpotrzebniejszych do życia rzeczy ofiarowali marynarze przymusowej kolonii polskiej w Algierze.

A.D.

29 marca 1944 r.

Dzieci perskie dzieciom polskim

Wielka sala teatru perskiego „Teheran” zapełniła się po brzegi. Tym razem publiczność składała się przeważnie z dzieci i młodzieży szkolnej. Obok siebie siedziały dzieci polskie i dzieci perskie, wyróżniające się swoimi smagłymi twarzyczkami i czarnymi jak węgiel włosami i oczami. Nie bardzo ci młodzi

widzowie mogli się porozumieć, lecz serduszka ich mocno biły, wyrażając w ten sposób wzajemną sympatię.

Przedstawienie urządziło irańskie Ministerstwo Oświaty dla dzieci polskich jako rewanż za podobne przedstawienie urządzone przed rokiem przez dzieci polskie dla dzieci perskich.

Pierwsze rzędy zajęli przedstawiciele irańskich urzędów z ministrem oświaty dr. Sadigh na czele. Ze strony polskiej przybyli konsul Rosmański, delegat Min. W.R. i O.P. p. Rzerzycha oraz przedstawiciele Delegatury M.P. i O.S. i wielu innych zaproszonych gości perskich i polskich.

Orkiestra gra hymny narodowe polski i perski, po czym na scenie ukazuje się uczennica perska. Wita ona polskie dzieci i między innymi mówi: „... Jesteśmy bardzo zaszczytzeni i szczęśliwi, że gościmy was, polskie dzieci. My was kochamy jak braci i siostry i mamy nadzieję, że wkrótce wasza ukochana Ojczyzna będzie wolna. Wierzymy, że bardzo prędko nad całym światem anioł pokoju rozpotrze swe skrzydła, a wy szczęśliwi i zadowoleni wróćcie do waszego ukochanego Kraju.”

Mają właśnie odegrać fragment z nieśmiertelnego dzieła wielkiego poety perskiego Firdusiego „Szach Name” – legendę p.t. „Rustem i Sohrab”. Po chwili przed oczyma młodych widzów rozgrywa się pełna uroku wschodniego scena, w której głównym bohaterem jest legendarny Rustem. Dzieci są zapatrzone w piękne, mieniące się wszystkimi barwami stroje staroperskie, podziwiają wschodnie tańce oraz pilnie słuchają wschodnich melodii.

Z kolei para śpiewaków irańskich przy akompaniamencie instrumentu perskiego „tara” odśpiewała szereg pieśni do tekstu poezji Hafiza.

W drugiej części przedstawienia dzieci perskie w pięknych i barwnych kostiumach popisywały się tańcami wschodnimi, a następnie przedszkole perskie odegrało scenki z życia plemienia Kurdów.

Na zakończenie, na dowód swego zainteresowania polskimi tańcami narodowymi, uczennice szkoły tańca odtńczyły mazura w pięknych stylowych kostiumach.

Przedstawienie urządzone przez irańskie Ministerstwo Oświaty dało raz jeszcze dowód życzliwych i przyjaznych stosunków istniejących pomiędzy Polakami i Irańczykami na terenie Iranu.

Poranek spędzony w teatrze razem z dziećmi perskimi polskie dzieci będą mile wspominać kiedyś w Polsce.

WACŁAW LOGA.

25 maja 1944 r.

Stolica pod okupacją niemiecką (II)

Dzieci

Dziwne dziś są dzieci polskie. Ciche, skupione, przedwcześnie dojrzałe. Dorosłe już w szóstym, ósmym, dziesiątym roku życia, rozumne jak ludzie, którzy wiele już przeżyli i dużo widzieli.

W wielu polskich rodzinach brak ojca. Matka dzień cały biega za zarobkiem – chłopak dziesięcioletni czuje się opiekunem młodszego rodzeństwa, towarzyszem swej matki. Przyszłam pewnego razu znużona i smutna do domu mej przyjaciółki: dziesięcioletni Jędrzek popatrzył na mnie z troską. „Jeśli pani wie coś złego, proszę nie mówić mamusi.” To on, mały mężczyzna, czuł się upoważniony do brania ciężaru trosk na swe chłopięce barki.

W czasie gdy na matkę spadł cios najdotkliwszy – śmierć męczeńska męża w Oświęcimiu, chłopak zajął się tak troskliwie pięcioletnim bratem, że nie wiedziało się w domu o istnieniu dzieci. Młodszy nie całkiem rozumiał swą „startę.” „Dziś tatuś umarł, ale po wojnie do nas wróci, nie płacz” – pocieszał matkę. Starszy jednak wiedział, co do niego należy – cicho, nieznacznie zwalniał matkę od trosk domowych, opiekował się braciszkiem. W tym właśnie czasie najokropniejszej rozpacz i pustki w domu, nauczył malca czytać, a sam zaczął zarabiać wycinaniem zabawek z dykty, i każdego pierwszego dołączał swój służotowy dochód do zarobków matki.

Obaj pogodzili się ze śmiercią ojca, mały na swój dziecinny sposób, starszy z opanowaniem i rozsądkiem. Obaj jednak truchleli o całość jedynej już opiekunki – matki. Wracałyśmy czasem z pracy razem; chłopcy stali w przedpokoju pod drzwiami, trzymając się za ręce i godzinami wyczekiwali niespokojni, czy matka wróci. Trudno było namówić pięcioletniego malca do pójścia do łóżka – nocą niezmiennie śnił, że Niemcy łapią mamusię. Musiał spać

z matką w jednym łóżku, by budząc się z krzykiem z nocnego koszmaru, móc od razu przypaść jej do rąk, wiedzieć napewno, że jest z nim jeszcze.

Biedni maleńcy chłopcy, jakże marzyli o Anglii, wyspie wolności! Żarliwie prosili swą nauczycielkę francuskiego – „czemu mamy uczyć się **Marsylianki**, proszę nas nauczyć „**God Save the King**” – cóż będziemy śpiewali, jak przyjdą Anglicy?

Ciągłe zabawy w wojsko zawsze kończyły się pogromem Niemców, którym następnie urządzało się uroczyste pogrzeby. Dziesięcioletni opiekun swej matki, pilny uczeń i rzemieślnik, był wszak jeszcze dzieckiem, pełnym fantastycznych pomysłów.

Wśród pięknych wolności Karty Atlantyckiej brak jednej niezmiernie ważnej – wolności dzieciństwa, prawa dziecka do uśmiechu i radości.

MARIA BRZESKA.

17 czerwca 1944 r.

Nie do wiary...

Tajna szkoła polska w Rzymie

Korespondent wojenny PAT'a. Na froncie włoskim, Zdzisław Bau donosi:

„W Rzymie w ciągu 9 miesięcy okupacji niemieckiej czynna była tajna szkoła polska. Gestapo usiłowało bezskutecznie wykryć szkołę, która zmieniała często swoje miejsce. Do szkoły tej uczęszczała pokaźna ilość dzieci polskich, przygotowujących się do wyższych studiów. Świadectwa tej szkoły są uznawane zarówno przez polskie ministerstwo oświaty, jak i uniwersytet papieski.”



9 stycznia 1945 r.

Święta Bożego Narodzenia wśród Polaków we Włoszech

Rzym (PAT.) Uchodźcy polscy we Włoszech, po raz pierwszy od czasu wojny, obchodzili wspólnie, w nowych warunkach wolności politycznej, uroczystości związane ze świętami Bożego Narodzenia.

W Rzymie, skupiającym największą ilość Polaków, odbyła się staraniem delegatury ministerstwa opieki, wspólna wieczerza wigilijna, w której oprócz uchodźców wzięli udział przedstawiciele władz cywilnych i wojskowych z Ambasadorem R.P. Papée, ministrem Loretem oraz ppłk. Kończyem na czele.

Przemówienia wygłosili: biskup Dubowski oraz delegat ministerstwa Opieki Zacharjasiewicz, który zaapelował do uchodźców, by zjednoczyli się w wysiłkach i wytrwali w walce o należne prawa dla Polski.

Konsul gen. Kowalski dziękował organizatorom współpracującym ściśle z Delegaturą PCK przy II Korpusie W.P., za tyle pozytywnych osiągnięć w opiece nad uchodźcami.

W drugim dniu świąt odbyła się uroczystość gwiazdkowa, podczas której wszystkie, bez względu na wyznanie czy narodowość, dzieci polskie zostały hojnie obdarzone podarunkami. Rozdziału dokonała konsulowa Wierusz-Kowalska.

Delegatura ministerstwa opieki otrzymała z całego terenu Włoch dziesiątki życzeń od uchodźców, wyrażających swą wdzięczność za opiekę ze strony władz polskich i deklarujących swą pełną solidarność ze stanowiskiem zajmowanym przez jedyny legalny i konstytucyjny rząd Rzplitej w Londynie.

12 stycznia 1945 r.

Rozdział odzieży, stołówki, gimnazjum Opieka nad obywatelami polskimi we Włoszech

Korespondent PAT'a w Rzymie R. Mossin donosi w telegramie z dnia 9.1.45:

Wszyscy obywatele polscy, przebywający na terenie wyzwolonej części Włoch korzystają z regularnie wypłacanych zasiłków. W ciągu grudnia nastąpiło rozdanie odzieży, częściowo zakupionej, częściowo otrzymanej w darze od Czerwonego Krzyża. W ten sposób około 600 osób otrzymało bezpłatnie ubrania.

Na terenie Rzymu zorganizowana jest stołówka dla uchodźców, która wydaje około 200 obiadów dziennie za minimalną opłatą. Prawo do korzystania z tej stołówki mają najbiedniejsi. Chorzy otrzymują specjalne zdrowotne racje żywnościowe.

Na terenie Rzymu istnieje gimnazjum polskie. Jest ono dalszym ciągiem potajemnie prowadzonych od 1940 roku kursów maturalnych. Gimnazjum to ma pełne prawa nadane mu przez ministerstwo oświaty. W gimnazjum zorganizowano bursę i stołówkę. Wszyscy uczniowie i uczennice otrzymują bezpłatnie drugie śniadanie i obiad. Pomoc zasiłkowa i odzieżowa obejmuje i tych obywateli polskich, którzy przebywają poza terenem wielkich miast.

W Bari pracuje delegatura dla południowych Włoch, we Florencji dla północnych, która rejestruje jednocześnie nowych obywateli polskich, przybywających w związku z posuwaniem się wojsk sprzymierzonych.

Dla dzieci, które znajdują się poza Rzymem dostarczane są regularnie prowianty. Wśród uchodźców jest spory odsetek Żydów, obywateli polskich, którzy korzystają narówni z innymi z pełnej opieki społecznej.

Dla zorganizowania życia kulturalnego, uruchomienia świetlicy, dostarczania gazet zawiązał się w Rzymie Komitet uchodźców, w skład którego weszli przedstawiciele wszystkich klas społecznych. W Komitecie jest też przedstawiciel Żydów polskich. Należy podkreślić wielką pomoc w zorganizowaniu opieki społecznej ze strony Polskiego Korpusu. Gen. Wł. Anders osobiście interesuje się tymi zagadnieniami, a Korpus polski udziela

wszelkich ułatwień, zwłaszcza gdy chodzi o zagadnienie komunikacji. Od wojska mają też uchodźcy gazety i książki.

Pewien odsetek Polaków znajduje się również w angielskich obozach uchodźców. Są oni w warunkach zadowalających. Delegat ministerstwa Opieki objechał te obozy.

HENRYK GOSTYŃSKI

„Młody las” polski na Antypodach

Pahiatua, (Nowa Zelandia), w listopadzie.

Depesze doniosły już o przybyciu do Nowej Zelandii 750 dzieci polskich wraz z personelem wychowawczym. Krótkie te notatki telegraficzne, mimo że doskonałe były w treści, nie dały jednak czytelnikowi polskiemu na szerokim świecie dokładnego obrazu sytuacji oraz warunków, w jakich dzieci te znalazły się i żyć będą w szczęśliwym kraju – w Nowej Zelandii.

Nie został dotychczas odtworzony obraz przejść i gehenny dzieci polskich, które oderwane od rodziców, poprzez tajgi Sybiru, malaryczne obozy perskie, nareszcie wylądowały w zacisznym obozie Pahiatua, pod Wellington.

Celem mojego przyjazdu do Nowej Zelandii jest właśnie poinformowanie Polaków w każdym zakątku świata jak żyje, rozwija się, rośnie ten „młody las” Polski, rzucony na Antypody.

Reportaże moje, pisane bezpośrednio z obozu Pahiatua, w miarę możliwości technicznych, dość utrudnionych w okresie wojny, rozwiną tę sprawę.

Ziściły się słowa premiera Nowej Zelandii, Frazera, wypowiedziane w Izbie Posłów: Nowa Zelandia sprowadzi na okres wojny 800 dzieci polskich. Dzieci te przeszły ciężkie i okrutne doświadczenia w swej wędrówce z Polski poprzez Rosję do Iranu i Indii. Tysiące zginęło po drodze. Będzie to aktem chrześcijańskiej miłości i życzliwości dla Narodu Polskiego, gdy dzieciom tym damy opiekę i gościnę w naszym kraju oraz zapewnimy im wychowanie i całkowite odzyskanie zdrowia.

838 dusz polskich znalazło się w Nowej Zelandii.

Jak doszło do sprowadzenia dzieci? Na wstępie muszę podkreślić momenty zlekceważenia obowiązków, braku zrozumienia czy niedbalstwa ze strony urzędników Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Londynie i jego delegatury w Teheranie. Usterki te nie tylko wywołały zgrzyty wśród tutejszego wychodźstwa polskiego, lecz poderwały również prestiż Polski w oczach Nowozelandczyków.

W czerwcu 1943 r., po przejeździe uchodźców polskich przez Nową Zelandię do Meksyku, poczęła tutaj kiełkować myśl sprowadzenia obozu dzieci z Persji.

P. Maria Wodzicka, żona konsula generalnego R.P. zwróciła się w tej sprawie do żony premiera Nowej Zelandii, pani Frazer, która po rozmowie z mężem dała przychylną odpowiedź, prosząc o podanie szczegółów.

Na początku lipca ub. roku odeszły z Wellington telegraficzne zapytania do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej odnośnie tej sprawy, na co jednak do listopada, t.j. przez przeciąg 4 miesięcy nie otrzymano odpowiedzi.

Po tak długim okresie nadeszła decyzja, mianująca p. Wodzicką delegatką M.P. i O.S. dla przeprowadzenia pertraktacji w związku z obozem. Praca ruszyła naprzód.

Premier Frazer zwołał w grudniu konferencję ministrów, na którą zaprosił konsula generalnego R.P. dr Wodzickiego oraz p. Wodzicką, delegatkę M.P. i O.S. dla omówienia sprawy sprowadzenia dzieci.

W wyniku tych obrad rząd tutejszy postanowił wówczas udzielić gościny 700 dzieciom polskim wraz z personelem wychowawczym i w tym celu wybudować obóz, wyekwipować go i oraz zapewnić gościom utrzymanie i odzież.

Hojni gospodarze nowozelandzcy prosili przy tym o szybkie podanie im składu obozu.

I tu zaczyna się tragedia!...

Decyzja rządu Nowej Zelandii odnośnie obozu niezwłocznie zakomunikowana została ministerstwu polskiemu w Londynie i na to do lipca 1944 roku, t.j. w ciągu 7 miesięcy nie otrzymano odpowiedzi.

Rząd Nowej Zelandii oraz grono tutejszego wychodźstwa polskiego nie byli w stanie pojąć, aż nareszcie po długich szturmach nadeszła na początku lipca ub. r. wiadomość że transport dzieci i dorosłych przyjeżdża. Była to jednak znów głucha wiadomość. Nie znany był skład obozu, a od tego uzależnione były prace przygotowawcze, a przede wszystkim budowa pomieszczeń i urządzeń obozu.

Po wielkich alarmach skład obozu został podany lecz już na 4 dni przed przyjazdem dzieci. Spowodowało to wstrzymanie robót budowlanych, skutkiem czego część budynków mieszkalnych i szkół jest nie ukończona.

A teraz nowy skandal... Okazuje się, że zapowiedziany personel nie przyjechał we właściwym składzie, skutkiem czego tracimy autonomię we wszystkich niemal dziedzinach administracyjno-gospodarczych. Na szczęście personel nauczycielski jest kompletny.

Gdzie leży źródło niedbalstwa i niewłaściwego załatwienia sprawy?

Polacy w Nowej Zelandii domagają się wyjaśnień.

Gdy statek amerykański, mający na swym pokładzie 1,800 żołnierzy nowozelandzkich, powracających z frontów walki oraz dzieci polskie, znalazł się w pobliżu portu Wellington, na okręt przybyli premier Frazer, konsul dr. Wodzicki, pani Wodzicka, komendant obozu major Foxley, delegat ministerstwa do obozu p. Śledziński oraz liczni przedstawiciele zaprzyjaźnionych państw.

Premier Frazer przemówił do żołnierzy, witając ich w domu po długich i zwycięskich trudach wojennych, poczym powitał gorąco dzieci polskie. Następnie powitał Polaków konsul dr. Wodzicki.

Wzruszające sceny rozgrywały się gdy premier Nowej Zelandii znalazł się wśród dzieci polskich, bowiem on zrozumiał tragedię Polaków, rozsianych po świecie i podał im braterską dłoń.

Na twarzy premiera widoczne było przejęcie a może i łzy zabłysnęły w oczach na widok wynędzniałych i wymęczonych dzieci polskich, lecz uratowanych i to przez siebie...

Żał było dzieciom opuszczać statek, bowiem nie chciały one rozstać się z żołnierzami nowozelandzkimi, z którymi żyły się w okresie 3 tygodniowej

podróży. Postawa żołnierzy była naprawdę rycerska i ojcowska. Pieczołowicie opiekowali się dziećmi, starając się w każdy sposób uprzyjemnić im pobyt na statku. Małeństwa zarzucają im ręce na szyję i tulą się do nich przed rozstaniem.

Statek zawinął do portu. W zwartych szeregach dzieci opuściły pokład i umieszczone zostały w czekających na nie wagonach, które zawieść je mają do Pahiatua. Na stacji goście polscy witani są entuzjastycznie nie jak przybysze, lecz jak ludzie bliscy sercu, a to co się działo na stacji w Palmerston North zrozumieć tylko może naoczny świadek wzruszających scen.

Na czele tłumu ustawione były w szeregu dzieci tamtejsze, trzymające w rączkach chorągiewki z napisami „Witajcie”. W chwili gdy pociąg wjechał na peron, dzieci nowozelandzkie zbliżyły się do okien wagonów, by powitać dzieci polskie. I tu właśnie na tle spotkania uwydatnił się kontrast między dzieckiem bezdomnym, dotychczas głodnym, wychowanym na obczyźnie, w łagrach, barakach, - a dziećmi pozostającymi w normalnych warunkach bytowych.

Uśmiech i radość szczęśliwego dziecka spotkały się twarz w twarz ze zmizerowaną bladą cerą wałęsającego się po świecie dziecka polskiego.

Dzieci polskie otrzymały tu lody. Może i to po raz pierwszy w życiu...

W Pahiatua ze stacji dzieci udały się samochodami do obozu, oddalonego o dwie mile od miasteczka. Ulice przybrały odświętny wygląd. Tłumy zebrały się na chodnikach, gorąco witając gości polskich.

Czego ci ludzie tak się cieszą? – pytają w duszy Polacy. Przecież nie jedzie żaden dygnitarz, żaden orszak – tylko jadą polskie sieroty. Ale Nowozelandczycy wiedzą, że dzieciństwo tych gości nie było opromienione słońcem radości – ale mrokiem niewoli i poniewierką. że te polskie sieroty – to najniezwyklejsze dzieci na świecie.

I oto ci ludzie cieszą się, że sieroty te zapomną o goryczy swej doli, że Nowa Zelandia oddzieli je od tego, co było w ich życiu bólem i niezastężoną, niezawinioną krzywdą...

O zachodzie słońca dzieci znalazły się w obozie. Zdyscyplinowane szeregi dzieci rozsypany się po wspaniałych trawnikach, placach zabaw, a nieco później, po spożyciu kolacji, udały się na spoczynek.

W obozie zapanowała cisza, cisza w sypialniach przerywana kaszlem suchotniczych dzieci, szlochem chorych na malarię.

Pierwszy okres pobytu w obozie doprowadzi ich do równowagi, wyleczy ich ze zmęczenia, lecz nie doprowadzi do normalnego stanu dziecka. Na to potrzeba długich tygodni, miesięcy, a może i lat. Obóz w Pahiatua spełni niewątpliwie swoje zadanie.

Następny mój reportaż z Pahiatua pod tyt.: Jak żyją dzieci polskie w Nowej Zelandii? omówi obszernie życie w obozie.

13 stycznia 1945 r.

Jak żyją dzieci polskie w Nowej Zelandii

II

Pahiatua, (Nowa Zelandia), w listopadzie.

W odległości dwóch mil od miasteczka Pahiatua, wśród wspaniałych farm, tuż przy gościńcu, leży obóz polski. Do niedawna jeszcze miejsce odosobnienia dla wrogich obywateli, dziś zamieniony na plac wolności dla dzieci polskich.

Pozostałe 4 wieże strażnicze świadczą, że kiedyś zabroniono tu wstępu i wyjścia, - dziś bramy są na oścież otwarte i każdego zapraszają.

Biało-czerwony sztandar wznosi się dumnie i wskazuje każdemu przechodniowi, że tu żyją, pracują i przygotowują się do powrotu do swej Ojczyzny dzieci polskie.

W obozie znajduje się obecnie **725 sierot i pół sierot**, podzielonych po 18 w grupie, według wieku i zdolności; poza tym jest **113 dorosłych osób**, w tym 42 nauczycieli, 1 lekarz, dentysta i 4 rzemieślników. W tej liczbie jest 36 samotnych kobiet i 6 samotnych mężczyzn. Jest również kilkanaście rodzin po 2 i 3 osoby – to są matki z dziećmi, które uratowały się po śmierci lub zsyłce ojca.

Rozmieszczeni zostali w doskonałych warunkach. **15 budynków mieszkalnych** pomieściły większość dzieci, zaś rodziny zamieszkały w specjalnie

wybudowanych oddzielnych domkach. **4 olbrzymie jadalnie** dostosowane są do potrzeb obozu a **2 świetlice** zaopatrzone w pisma polskie i angielskie są miejscem zbiórki starszej młodzieży i opiekunów.

Najbardziej okazałymi budynkami są „gmachy” szkolne. Mamy tu bowiem **przedszkole, szkoły powszechne męskie, szkoły powszechne żeńskie, gimnazjum ogólno-kształcące i kurs krawiecki.**

W samym środku niemal obozu znajduje się **sala koncertowa**, a trochę dalej na prawo kaplica. **Budowa kina** trwa w tej chwili i już w najbliższym czasie obóz będzie dysponował własnym kino-teatrem. Wszystkie budynki mają **centralne ogrzewanie**, które w Nowej Zelandii jest prawie niespotykane, mimo że zimy są dość długie i przykre.

Obóz jest rozblokowany planowo. Są ulice i uliczki ozdobione kwiatami; są skrzynki pocztowe na rogach „centralnych” ulic.

Szpital obozu wymaga specjalnego omówienia. Jest to bowiem zakład, którymbym się nie powstydział nie jeden wielki ośrodek. Wyposażony w najnowocześniejsze urządzenia, jak również we wspaniałą aptekę, mieści się w oddzielnym obszernym budynku, położonym na skraju obozu. W chwili gdy zwiedzam szpital, zastaję około 30 chorych. Starsze osoby leżą w separatkach, zaś dzieci na ogólnych salach, skąpanych w słońcu. Większość dzieci dotkniętych jest malarią, bowiem są to jeszcze pozostałości z obozów oraz „łagrów” rosyjskich i perskich. Jest również kilka chorych dzieci na oczy, a pozatym na owrzodzenie i reumatyzm. (Naogół stan zdrowotny w obozie ulega z dnia na dzień znacznej poprawie, co też jest normalnym objawem).

Dotychczas koszt budowy i urządzenia obozu wynosi ok. **250 tysięcy funtów.**

Z kolei znajduję się w sali odczytowej. Tu są jeszcze ślady na scenie po imprezie, urządzonej z okazji 11-go listopada. Kilkuletni pobyt dzieci i opiekunów poza granicami kraju, choć w najgorszych warunkach, nie odzwyczaił ich od zasad i tradycji.

Na ścianie wisi postrzępiony sztandar zaofiarowany obozowi przez załogę polskiego statku, który w ostatnich dniach zawinął do portu w Nowej Zelandii. Polscy marynarze i oficerowie odwiedzili obóz w Pahiatua, by powitać na obczyźnie dzieci polskie i właśnie podczas wzruszającego powitania wręczyli

drogi im sztandar polski. Ta flaga bowiem łopotała na maszcie okrętu, gdy przebywał w Salerno i na Sycylii.

- Wręczając Wam, drogie dzieci, sztandar ten – powiedział oficer podczas uroczystości – mamy nadzieję, że zachowacie honor Polaków.

Jak wygląda organizacja obozu?

Komendantem obozu jest Nowozelandczyk mjr. P. Foxley, który zarządza częścią administracyjną obozu, pozostającą w kompetencji władz tutejszych (rozbudowa, wyekwipowanie obozu, żywność, odzież i t.p.) zaś delegatem do obozu z ramienia Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej i Ministerstwa Oświaty jest p. J. Śledziński, który kieruje aparatem, obejmującym szkolnictwo oraz dział świadczeń i zapomóg.

Komendant obozu, majątny farmer, major Foxley, rzucił swoje gospodarstwo dla obozu. Podczas mojej wizyty u przemiłego Nowozelandczyka zapytałem go, czym kierował się, obejmując stanowisko w obozie. I tu padły słowa, które mnie wzruszyły:

- Mam obowiązki wobec Polaków i muszę spłacić swój dług wdzięczności – rozpoczyna mjr. Foxley.

- Syn mój, kadet marynarki był jeńcem wojennym w Toruniu. Gdy pewnej nocy uciekł z obozu niemieckiego Polacy udzielili mu pomocy. Ukrywali go, zaopatrzyli go następnie w łódź, by był w stanie dopłynąć do morza, a stamtąd w świat.

- Niestety wysiłki Polaków poszły na marne. Synowi mojemu nie udało się wyprawa i wrócił do straszego obozu jeńców w Toruniu, jednakże czyn waszych rodaków nie został wyrwany z mego serca. Kocham dzieci polskie i szczęśliwy jestem, że ta dziatwa tropiona i gnębiona wróci do życia. W miarę moich sił – ciągnie mjr. Foxley – będę służył obozowi. Gdy mi zabraknie ich, syn mój, który po repatriacji służy w Marynarce angielskiej, zastąpi mnie po wojnie...

Przez długą chwilę siedziałem nieruchomo. Czyż naprawdę są jeszcze na świecie ludzie, którzy mają serce i patrzą w serce... Polaków?

Dalszym etapem mojej wędrówki po obozie są magazyny odzieżowe. Olbrzymie zapasy swetrów, ubrań, bielizny i td. dostarczonych przez Nowozelandczyków, wydawane są dzieciom. Nowozelandzkie „Pestki” pracują

ciężko nad dopasowaniem każdej części garderoby, by dzieci ubrane były szykownie i wygodnie.

Wszędzie w każdej sali, w każdym magazynie, czy biurze, spotygam p. Wodzicką, w mundurze Polskiego Czerwonego Krzyża. Wszystkim się interesuje, wszystkiego dogląda i wszystko wie. Ona też dała poważny wkład do tego obozu. P. Wodzicka bowiem była jedną z tych osób, które zrealizowały kielkującą tu myśl sprowadzenia dzieci polskich do Nowej Zelandii.

- Obóz ten – mówi p. Wodzicka – zamienimy w kuźnię charakterów dzieci. Piętno przeżytej tragedii wyciśnięte na nich, niewątpliwie zostanie usunięte. Wychowamy dziatwę w duchu miłości człowieka do człowieka.

A teraz kolej na domki mieszkalne.

Pragnę z rozmów, przeprowadzonych z lokatorami domków, dać Czytelnikowi powierzchowny przynajmniej obraz ich przeżyć.

W domku U.33 mieszka wraz z inną rodziną, **p. Olga Sigiewicz**, nauczycielka ze Lwowa. Zaraz po zajęciu Lwowa przez bolszewików została ona aresztowana w Stryju. Stąd powędrowała do więzień w Kijowie, a następnie w Cumie, Charkowie, Sizianie i Petropawłowsku. Tu dostała wyrok 6 lat więzienia i odesłano ją natychmiast do „łagru” na południowym Kazachstanie. Stąd po amnestsii w 1941 roku została zwolniona i wówczas rozpoczęła się tragiczna wędrówka już nie więźniarki, lecz wolnej Polki w Rosji Sowieckiej.

Jeśli kiedyś przysłuchiwałem się opowiadaniom tragicznym – to przeżycia ks. kapelana obozu, Michała Wilniewczyca, rodem z Nowogródzkiego, są najokropniejsze. W dniu 11 listopada 1939 roku zadenuncjonowany przez swojego ucznia, syna komunisty, w Hajnówce, został aresztowany przez bolszewików i oskarżony o pracę antybolszewicką. Osadzony w więzieniu w Wołkowysku, został po krótkim czasie odesłany do więzienia w Homlu, na Polesiu, gdzie wręczono mu wyrok, skazujący go na 8 lat ciężkich robót.

Następnie odtransportowany został do Kolhanu, archangielski okr. gdzie przez 11 miesięcy pracował przy budowie toru kolejowego. Dopiero we wrześniu 1941 roku, po amnestji został zwolniony z łagru i wstąpił do tworzącej się armii polskiej w Tocku (swierdłowski okr.). Jako kapelan szpitalny przeniósł się z armią na południe do Uzbekstanu.

Niestety, jedyną moją funkcją prawie – mówi kapelan – było chowanie zmarłych żołnierzy polskich. Podczas gdy w Tocku w okresie 5 miesięcy (od października do lutego 1942) zmarło 97 żołnierzy w Uzbekstanie pochowaliśmy w dywizji generała Tokarzewskiego 620. Wszyscy zmarli na skutek wycieńczenia, gruźlicy i tyfusu plamistego.

Obraz 340 grobów przeze mnie pozostawionych (97 w Tocku, 243 w Uzbekstanie) nigdy mi nie zniknie z oczu.

Pod koniec sierpnia 1942 roku ksiądz Wilniewicz przybył do Persji i tu wyznaczony został przez biskupa Gawlinę do ludności cywilnej, a później do obozu dzieci w Iswahanie.

- Jak ksiądz kapelan wyobraża sobie kwestię wychowania dzieci polskich w Nowej Zelandii? – pytam.

- Nie chcemy utracić ani jednego dziecka. Wychowamy je w duchu polskim i nie dopuścimy do adoptacji. Przygotujemy je na dobrych obywateli, potrzebnych Polsce – brzmiała krótka i stanowcza odpowiedź kapelana obozu.

W sąsiednim domku zastaję staruszkę 72-letnią, która mimo swych przejść, zahartowana na duchu, nie traci nadziei powrotu do Kraju. Tam obok mieszka kobieta, która po drodze pochowała swoje dzieci; tu znów nauczycielka, która rozstała się z mężem, a po pewnym czasie, na szlaku wędrówki natknęła się na jego grób.

W sąsiedztwie mieszkają trzy sieroty, których matka zmarła w Rosji, podczas gdy ojciec walczył w armii polskiej we Włoszech.

Ramy reportażu nie obejmują tego ogromu nieszczęść i tragicznych przejść ludzi niewinnych. Wszędzie dokoła mieszkają kibuty okaleczonych, dawniej zdrowych rodzin polskich. Matki i dzieci, rodziny nieszczęśliwe, nie będą nigdy miały nawet tego pocieszenia, żeby przyjść na mogiłę najdroższą, ubrać ją w kwiaty, pokropić łzami, uświęcić spojrzeniem.

Nie wiadomo jak wyglądają, gdzie się znajdują, ciemne groby niemieckich i rosyjskich egzekucji. Krwawiąca, niezagojona rana...

HENRYK GOSTYŃSKI.

15 stycznia 1945 r.

Serdeczna opieka Nowej Zelandii nad polskimi dziećmi w Pahiatua – „Domu Bogów”

Pahiatua (Nowa Zelandia, w listopadzie).

III

Obóz polskich dzieci nie przestaje być przedmiotem zainteresowania Nowej Zelandii. Premier P. Frazer z powodu choroby odwiedził obóz dopiero w dwa tygodnie po przybyciu dzieci. Pobyt Szefa Rządu Nowej Zelandii wśród dzieci polskich i tym razem pozostawił niezatarte wrażenie.

Premier przybył do Pahiatua w towarzystwie ministra Flatchera. Budynki administracyjne skrupulatnie lustrował. Odwiedził budynki mieszkalne, rozmawiając z uchodźcami przy pomocy tłumaczy, przy czym wykazywał głębokie zainteresowanie. Najwięcej czasu premier spędził w szkołach. Tu, jako były minister oświaty Nowej Zelandii, wypytywał o polskie metody nauki. Przesiadywał na lekcjach, przeglądał podręczniki, dając wyraz swemu zadowoleniu, a następnie wygłosił przemówienie do wychowawców i opiekunów z prośbą o przetłumaczenie im:

- Ludność Nowej Zelandii uważa opiekunów i wychowawców tych nieszczęśliwych dzieci za bohaterów, bowiem oni z narażeniem życia wyprowadzili je z niewoli ku wolności, z ciemności ku światłu. My rozumiemy jakiego poświęcenia to wymagało.

Na łamach tutejszej prasy opublikowana została treść depechy z podziękowaniem od prem. Mikołajczyka:

„Jestem Panu niezmiernie wdzięczny, Panie Premierze, za szczere załatwienie naszej prośby, którą to miałem sposobność przedłożyć osobiście Panu podczas Jego pobytu w Londynie – udzielenia dzieciom polskim, które niedawno wylądowały, schronu na gościnnej ziemi Nowej Zelandii. Pragnę podziękować Panu najuprzejmiej nie tylko w imieniu swoim, i Rządu Polskiego, lecz również w imieniu całego Narodu Polskiego, który specjalnie jest niespokojny o los swoich dzieci.”

Nie ma dnia, by do obozu nie przyjechali wybitni goście. Tu zajeżdża limuzyna z przedstawicielami ministerstwa spraw wojskowych, tu znów

przedstawiciele rządu i inne osobistości. Każdy się zachwyca, każdy jest szczęśliwy, że dzieci polskie są urządzone i każdy pomaga w miarę swoich możliwości i kompetencji.

Równocześnie ze mną odwiedzał obóz minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, jak również sprawiedliwości p. H. G. R. Masson w towarzystwie podsekretarza stanu tychże ministerstw dyrektora de. E. Beeby.

Zapytany przeze mnie o swoich wrażeniach z Pahiatua, minister oświadczył:

- Obóz jest doskonale przygotowany do potrzeb nauczania. Dzieci polskie będą tu niewątpliwie szczęśliwe, zdobędą naukę polską i angielską. Goście nasi, mieszkańcy obozu, nie znają jeszcze dziś ani słowa angielskiego, szybko jednak opanują ten język. Mieliśmy przykład z Waszym Konradem–Korzeniowskim, który sprowadził nam bogactwo do literatury angielskiej.

Komendant obozu major P. Foxley zaprosił mnie do wzięcia udziału w zebraniu, zwołanym w miasteczku Pahiatua dla omówienia spraw pomocy mieszkańców dla obozu polskiego. Pani Wodzicka, major Foxley, delegat Śledziński i ja zasiedli w sali rady miejskiej wśród przedstawicieli gminy. Zebranie zagał burmistrz Pahiatua S. J. Judd, który przygotował pytania: czy potrzebne są obozowi pieniądze; czy my, mieszkańcy Pahiatua możemy adoptować dzieci polskie; jeśli nie całkiem, to na okres świąt; kiedy możemy Was odwiedzać; jak możemy urozmaicać dzieciom czas wolny od zajęć szkolnych?

Ze strony przedstawiciela obozu padły odpowiedzi, zmierzające do odrzucenia pomocy pieniężnej. Natomiast każdy głos Nowozelandczyka w dyskusji i podczas obrad nacechowany był szczerością i gotowością do ofiar.

Wzruszony byłem stanowiskiem tych prostych ludzi, mieszkańców bodajże najmniejszej gminy w Nowej Zelandii, a doprawdy już mi tchu zabrakło, gdy następnego dnia płacąc rachunek w hotelu, zauważyłem na stoliku kasjerki puszkę z napisem: „Support the Polish Camp in Pahiatua”.

Pewnego dnia zupełnie niespodziewanie zjawiała się w obozie orkiestra kobziarzy szkockich w strojach z Palmerston North, która rozpoczęła koncert przed szpitalem. Dzieci szalały z radości.

Specjalnie zawiązany Polish Children Hospitality Committee przy współpracy p. Wodzickiej działa. Ciężarowym samochodem przywozi dzieciom i opiekunom w obozie kwiaty. Nie są to tylko kwiaty do ozdoby – to jest symbol miłości i troski.

Nie mogę również pominąć milczeniem wysiłku p. dr. Sylvin Chapman która zdołała już się nauczyć mówić po polsku, i zaofiarowała P.C.K. swoje usługi i po wojnie. Dr. Chapman zaofiarowała obozowi wspaniąłą reprodukcję Matki Boskiej Kozielskiej. Obraz ten ofiarodawczyni wręczyła podczas specjalnej uroczystości kapelanowi obozu, który po poświęceniu złożył go na ołtarzu kaplicy.

Opuszczam obóz w Pahiatua – „Dom Bogów” – to bowiem ta nazwa oznacza w języku tubylców Maory. Rozstaję się z dziećmi, które już dwa razy w czasie wojny spotykałem.

Pierwszym etapem naszego spotkania była stacja kolejowa Sarny na Wołyniu w lutym 1940 r., którędy szły transporty rodzin osadników z Kresów Wschodnich i rodzin funkcjonariuszy policji, załadowane w najokropniejszych warunkach do wagonów bydłowych.

Wówczas otwierał się przed tymi dziećmi tragiczny szlak wędrówki bez kresu i bez celu.

Nie wiadomo było, kto w tych strasznych warunkach dojdzie, kto wytrzyma.

Obecnie spotkałem je w bezpiecznym schronie. Pahiatua jest końcem ich koszmarnej wędrówki wojennej.

Stąd po wojnie wrócą do Polski.

HENRYK GOSTYŃSKI.

23 stycznia 1945 r.

W sprawie dzieci polskich w Nowej Zelandii

W korespondencji p. H. Gostyńskiego z Pahiatua, osiedla dzieci polskich w nowej Zelandii, drukowanych na łamach naszego pisma w dniach 12, 13 i 15

stycznia br. – znajdują się zarzuty pod adresem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.

Z uwagi na to, że autor wspomnianych artykułów oświadczył, iż Polacy w Nowej Zelandii domagają się wyjaśnienia powodów niedopatrzeń – Redakcja zwróciła się z prośbą do Sekretarza Generalnego Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej mec. Urbańskiego o udzielenie informacji w tej sprawie.

A oto jak wyglądała kwestia powstania projektu, zorganizowania i wysłania dzieci polskich z Persji do Nowej Zelandii według oświadczeń mec. Urbańskiego:

Dopiero w dniu 23 grudnia 1943 premier Nowej Zelandii złożył oficjalną propozycję w sprawie przyjęcia dzieci polskich, a 30-ego tegoż miesiąca konsul Wodzicki potwierdził depeszą tę propozycję, określając liczbę dzieci na 600 i miejscowość Pahiatua, jako miejsce osiedlenia.

Doceniając propozycję premiera Nowej Zelandii, doskonałe warunki klimatyczne i zdrowotne, zaczynamy starania o skompletowanie transportu.

W styczniu 1944 r. wysyłamy depezę do delegata MP i OS w Teheranie z prośbą wydzielenia dzieci częściowo z matkami, o czym – w tym samym dniu – zawiadamiamy p. Wodzicką. Przewidując trudności w skompletowaniu transportu z osiedli w Isfahanie – sugerujemy p. Wodzickiej uzyskanie zgody rządu Nowej Zelandii na zwiększenie stanu osobowego.

Przewidywania nasze sprawdzają się. Otrzymujemy depezę delegata MP i OS, w której oświadcza, że zgodnie z opinią delegata Min. Wyznań Religijnych i Ośw. Publicznego oraz na zasadzie opinii ambasadora brytyjskiego w Teheranie – Isfahan nie powinien być podzielony, tworzy on bowiem całość opiekuńczo-wychowawczą.

Do tego dodać należy, że dzieci te od przyjazdu z Rosji – znalazły w Isfahanie dobre warunki mieszkaniowe i zdrowotne. Wille bogatych Persów z ogrodami, jasne i przestronne, zostały oddane do dyspozycji zakładów. Odżywianie intensywne z uwzględnieniem jaknajwiększej ilości świeżych jarzyn i owoców, dawało rezultaty coraz lepsze. Już w sierpniu ub. r. – jak wynika z raportów lekarza naczelnego zakładów – nie stwierdzono awitaminozy.

W tym samym czasie t.j. 25 stycznia 1944 otrzymujemy depezę p. Wodzickiej, donoszącą o niemożliwości zwiększenia osiedla w Nowej Zelandii.

Wobec powyższego stanu rzeczy staramy się przenieść dzieci z osiedla w Jamnagarze w Indjach – gdzie klimat jest znacznie gorszy niż w Nowej Zelandii – w liczbie 350, oraz matek z dziećmi, znajdujących się w portach tranzytowych Ahvazu i Karachi. Wymaga to jednak dłuższego czasu. Prosimy p. Wodzicką depeszą z dnia 29 lutego 1944 r. o poinformowanie rządu Nowej Zelandii o powstałych trudnościach i o wszczęciu naszych pertraktacji z Delegaturą w Bombaju.

Od 25 lutego do 14 kwietnia trwa wymiana depesz, która w konsekwencji nie przynosi pozytywnego rezultatu. Jako powód zasadniczy Delegatura w Bombaju podaje więzy łączące dzieci z Jamnagar i Karachi z mieszkańcami.

Powstaje nowa koncepcja skompletowania dzieci z Palestyny. Ale znowu przychodzi odpowiedź odmowna.

Powoduje to decyzję podzielenia jednak osiedli w Isfahanie. Decyzje tę przekazujemy do Delegatury w Teheranie oraz komunikujemy o niej p. Wodzickiej w dniu 16 maja 1944 r.

Tutaj zaczęły się nowe trudności: rodziny nie chcą się zbyt daleko oddalać od Kraju, trudności w skompletowaniu personelu technicznego, dzieci nie chcą rozstawać się z przyjaciółmi i t.p. Nie są to rzeczy proste. Przecież nie można komuś kazać jechać, czy też siłą załadować na statek. Sentymenty, o których mowa, powodują nowe przedłużanie się wyjazdu.

Wreszcie w początkach lipca skład transportu zostaje skompletowany – przy osobistym udziale delegatów MP i OS oraz WR i OP – w liczbie 840 osób. Liczbę większą niż przewidywano. Nie można było porozdzielać rodzin. Zakomunikowano o tym p. Wodzickiej, prosząc o wyjednanie zgody na powyższą ilość.

Rząd Nowej Zelandii zgodził się. Stan transportu – przekazano p. Wodzickiej. Ale tutaj znowu wyszła nowa trudność: Delegatura MP i OS wysłała – prawdopodobnie na skutek nieporozumienia depeszy – stan faktyczny bez podziału na stan rodzinny, wiek i płeć. W ten sposób ostateczny wykaz stanu obozu został wysłany z dużym opóźnieniem.

Na pytanie, co było przyczyną tego, że zapowiadziany personel nie przyjechał w pełnym składzie, trudno mi w tej chwili odpowiedzieć, gdyż wszczęte w grudniu ub. r. dochodzenia komisji rewizyjnej w Delegaturze MP i OS w Teheranie, nie dały jeszcze pełnego wyniku. Osobiście przypuszczam, że

silna niechęć oddalania się od Polski – o której już wspominałem – była poważnym czynnikiem w wahaniach podjętych już decyzji.

(l.g.).

30 stycznia 1945 r.



Nawet widok lodów nie wywołał uśmiechu na poważnych twarzyczkach dzieci polskich, płynących na statku amerykańskim do Nowej Zelandii.

„Wola” – polska szkoła w Szwajcarii dla dziewcząt, które zbiegły z Niemiec

Genewa. (PAT.) – Korespondent PAT w Szwajcarii tak opisuje swoją wizytę w szkole młodych Polek w Szwajcarii:

- Jest rzeczą niespodziewaną – przy wielkiej szosie szwajcarskiej – nagle zobaczyć tablicę z napisem: „Wola”. Jest mnóstwo wsi w Polsce, noszących tę nazwę. A teraz spotykamy „Wolę” na drodze z Zurichu do Rapperswilu.

Rapperswil jest prawie od 100 lat znany Polakom. W długim okresie niemiecko-rosyjskiej okupacji Polski istniał w Rapperswilu wielki zbiór narodowych pamiątek polskich, znany pod nazwą „Narodowego Muzeum w Rapperswilu”. Muzeum zawierało eksponaty z okresów Polski Niepodległej.

Obok muzeum, które istnieje nadal i znów nabrało znaczenia dla polskiej rzeczywistości, znajduje się „Wola”. Jest to osada z ogrodem i dużym budynkiem mieszkalnym, który był niezamieszkały przez 10 lat.

Obecnie dom jest odnowiony, a ogród doprowadzony do porządku. U wejścia spotykam około 30 dziewcząt, pełnych życia. Są one tutaj od kilku miesięcy, opiekuje się nimi dyrektorka muzeum Madame Kenar. Historia tej „Woli” nie jest zwykła. Dzisiejsze jej mieszkanki, rzeczywiście wykazały dużo woli, żeby odmienić swój los.

Dziewczęta polskie, należące dziś do tej szkoły, były zmuszone przez Niemców do opuszczenia Polski i do przymusowej pracy w Niemczech. Po wielu przygodach udało się im ująć do Szwajcarii. Niektóre z młodych Polek musiały przepływać rzeki w drodze ku wolności. Jedne z nich pracowały w Niemczech po 2 lata, innym udało się zbiec po 3 lub 4 miesiącach.

Zawdzięczając władzom szwajcarskim, udało się następnie ulokować te dziewczęta w tej specjalnej szkole, gdzie uczą się gospodarstwa domowego, pielęgniarstwa, ogrodnictwa itp. Uzupełniają one także swoje wykształcenie ogólne, mają lekcje języka niemieckiego lub francuskiego, a niektóre z nich ukończyły już liceum i ubiegają się o dopuszczenie do studiów uniwersyteckich.

W rozmowie z uczennicami tej szkoły dowiedziałem się, że pochodzą one z Warszawy, Łodzi, Piotrkowa, Lwowa, Łucka, Stanisławowa i Wilna. Dwie młode Wilnianki odbyły całą drogę z Wilna do Szwajcarii na piechotę. Wiele dopomogły im zaświadczenia, z których wynikało, że jeden z uniwersytetów szwajcarskich zapewnia im przyjęcie na wydział medycyny.

Od Warszawianek dowiaduję się, że wiele młodych kobiet było uwięzionych podczas łapanek ulicznych. Trzy Piotrkowianki, bardzo żywe i zdolne, zaarrestowane były przez Niemców w miejscach swej pracy – i zaraz wysłane do Niemiec.

Wszystkie dziewczęta są pełne chęci uczenia się i służenia Ojczyźnie. Wiele pensjonarek opuściło już szkołę, pracują one na terenie Szwajcarii, jako doświadczone gospodynie domowe, lub pielęgniarzki.

Zapytałem się, jakie też wyniosły wrażenia z pobytu w Niemczech.

Usłyszałem odpowiedź:

- Wrażenia bardzo złe. Pożywienie było niedostateczne. Rygory stosowane w fabrykach – bardzo surowe. Wymagano od nas najniższych usług. Poniżano nas. Na pracach rolnych u chłopów nie było tak źle, a i pożywienie było lepsze, ale trzeba było pracować najmniej 14 godzin dziennie. Pracowałyśmy cały czas z tą jedyną nadzieją, że uda nam się ucieczka. W końcu udało się to każdej z nas. Jesteśmy niesłychanie wdzięczne Szwajcarii za to, że możemy być nadal użyteczne dla Polski.

Wyjeżdżałem z „Woli” pod silnym wrażeniem tej młodości, pełnej patriotyzmu i zapału do pracy.

31 stycznia 1945 r.



W drodze do Nowej Zelandii.
Cocker spaniel kapitana statku jest w zażyłej przyjaźni z dziewczynką polską.

3 lutego 1945 r.

Metropolita N. Zelandii u dzieci polskich

Wellington (PAT.) Thomas O'Shea, arcybiskup i metropolita Nowej Zelandii obrządku rzymsko-katolickiego odwiedził 29 ub. m. obóz dzieci polskich w Pahiatua. Arcybiskupowi towarzyszyło 12 księży z okolicznych parafii.

Przyjęcie arcybiskupa w obozie Pahiatua miało charakter niezwykle serdeczny. Dzieci polskie utworzyły szpaler od bramy do kaplicy, witając radośnie arcybiskupa i obrzucając go kwiatami. Po nabożeństwie arcybiskup udzielił dzieciom błogosławieństwa, poczym odwiedził mieszkania i szkoły, urządzone z wielkim nakładem pracy i starannością, przez gościnnych mieszkańców i władze Nowej Zelandii.

W obecności arcybiskupa odbyło się powtórzenie przedstawienia „Jasełek”, napisanych przez jedną z nauczycielek i odegranych przez dzieci. Podczas przedstawienia odśpiewano kolędy polskie.

Arcybiskup był bardzo wzruszony przyjęciem w obozie i wyraził swe uznanie dla młodocianych aktorów.

Przemówienie swoje arcybiskup zakończył słowami: „Módlcie się również za Nową Zelandię w waszych codziennych modlitwach.”

21 lutego 1945 r.

Serce Nowej Zelandii

Wellington (PAT.) 19.2. Dzienniki nowo-zelandzkie zamieszczają sprawozdania z zebrania Towarzystwa „Polish Army League in New Zealand”. Zebranie odbyło się 15.2 w Palmerstone North. Na zebranie przybyło 350 delegatów, reprezentujących oddziały Ligi, były również obecne dzieci z kolonii polskiej w Pahiatua. Przewodniczyła prezeska Ligi Wojska Polskiego w N. Zelandii p. L. Bale.

Jednocześnie ze zjazdem odbyło się otwarcie wystawy obrazów, wykonanych przez żołnierzy polskich z dywizji Karpackiej. Obrazy były podarowane przez polskich żołnierzy nowo-zelandzkiej Lidze Wojska Polskiego,

jako wyraz wdzięczności za opiekę, którą Liga roztoczyła nad żołnierzami dywizji.

Między innymi przemawiał na zjeździe **brygadier Sherston**, b. brytyjski oficer łącznikowy przy oddziałach sojusznicznych. Opowiedział on o swoich przygodach wojennych i **złożył głęboki hołd wojskom polskim**, które dobrze poznał w kampanii afrykańskiej: w Tobruku, pod Gazalą i w setkach innych okazji.

Brygadier Sherston z entuzjazmem charakteryzował generałów Andersa i Kopańskiego.

W odpowiedzi przemawiała p. **Maria Wodzicka**, delegatka Polskiego Czerwonego Krzyża. Wyraziła ona serdeczną wdzięczność brygadierowi Sherstonowi i wszystkim innym członkom Ligi za ich wspaniałą pracę. P. Wodzicka powiedziała m.in.:

Dla nas Polaków płynie wielka otucha z faktu, że łącznie z grupą dzieci polskich w Pahiatus – **doświadczamy tutaj niewiarygodnej serdeczności społeczeństwa nowozelandzkiego. Czyniecie rzeczy wspaniałe dla naszych żołnierzy walczących we Włoszech, zapewniając im pomoc Ligi – a także dla naszych dzieci z Pahiatus, wygląd których i zdrowie tak poprawiły się w ciągu trzymiesięcznego pobytu, że wszyscy mogą zaświadczyć o powrocie do stanu normalnego tych 700 sierot.**

- My Polacy wiemy, że **wśród Brytyjczyków posiadamy wielu wiernych przyjaciół i nie tracimy nadziei, że właśnie ci uczciwi ludzie będą mieli głos decydujący, przynosząc ludzkości sprawiedliwość i pokój, który nie może być oparty na przemocy, okrucieństwie, zniszczeniu i deportowaniach milionów mężczyzn, kobiet i dzieci.**

- Nienawidzimy wojny, ale użyliśmy oręża w obronie zasad sprawiedliwości i wolności, tych ideałów, jasno wyrażonych przez Kartę Atlantycką, która mówi, że każde państwo ma prawo do decydowania o sobie. Oręża tego nie schowamy, zanim zwycięstwo tych ideałów nie będzie zapewnione.

Na zakończenie zjazdu śpiewał chór dzieci polskich. Produkcje chóru miały wielkie powodzenie i były następnie nadane przez miejscową rozgłośnię oraz nagrane na płyty.

27 marca 1945 r.

Głód, nędza, epidemie

Tragiczny los dzieci polskich

Genewa – (PAT.) Wychodzący w Genewie „Biuletyn Unii Międzynarodowej dla Pomocy Dzieciom” w ostatnim swym numerze zamieszcza sprawozdanie z sytuacji zdrowotnej i żywnościowej dzieci polskich, pod okupacją niemiecką.

Sprawozdanie podaje, że Polacy otrzymywali niedostateczną ilość żywności, i że nawet racje jakie należały im się na podstawie posiadanych kart żywnościowych, istniały często tylko na papierze. Gatunek tej żywności był bardzo zły. Prawie na całym terenie okupowanym wstrzymano wydawanie mleka dla niemowląt, a dzieci polskie nie otrzymywały prawie nigdy cukru, marmelady i mąki. Racje mięsa stanowiły 100 gr. miesięcznie na osobę. Chleb był prawie niejadalny, często wyrabiany z psujących się kartofli.

Na skutek tego, wartość żywności dziennej, jaką mogli otrzymać Warszawianie wynosiła jedynie 375 kalorii, podczas gdy oficjalnie Niemcy przyznali 700 kalorii.

Sprawozdanie podkreśla, że racje żywnościowe, wyznaczone ludności polskiej przez okupantów, **wynosiły zaledwie 15 % normalnych potrzeb ludzkich.**

Dzieci polskie pozbawione były zupełnie tłuszczów i witamin, gdyż owoce, sery, miód, świeże ryby i mleko skondensowane były dla nich niedostępne.

Rada Główna Opiekuńcza w Warszawie od r. 1942 zajęła się szczególnie dożywianiem dzieci polskich, lecz Niemcy nie pozwolili na kontynuowanie tej akcji.

Niemcy nakazali ewakuację sanatoriów dla dzieci w Zakopanem, w Rabce i in. Chore dzieci polskie wyrzucano na ulicę, aby ustąpić miejsca chorym z Niemiec.

Instytucje opieki nad sierotami i biednymi posiadały pewne zapasy żywności, ofiarowane przez dobroczynność, lecz Niemcy skonfiskowali je dla robotników pracujących w przemyśle wojennym.

W styczniu 1945 Niemcy zakazali wydawania posiłków dzieciom w szkołach, motywując to tym, że przerwy wpływają ujemnie na naukę.

Kuchnie ludowe, które dotychczas były wielką pomocą dla biednej ludności, nie otrzymywały więcej żadnych artykułów żywnościowych i musiały wybitnie zmniejszyć swoją działalność. Kuchnie te wydawały 118 tys. porcyj zupy dziennie. W 1942 r. ilość ta zmniejszyła się do 62 tys., w 1943 – do 24 tys.

Choroby i śmiertelność dziesiątkowały dzieci polskie. Na przykład w okolicach Krosna 80 % dzieci popadło w ciężką anemię i wiele z nich zmarło na skutek tej choroby. **Ogólna śmiertelność wśród dzieci polskich w r. 1942 wzrosła 7-krotnie w porównaniu z rokiem 1938.**

Liczba narodzin zmniejszyła się, a śmiertelność wzrastała. We Lwowie w r. 1939 było 2659 narodzin i 3386 zgonów. W 1942 r. było 2377 narodzin i 4229 zgonów. A więc ilość zgonów wzrosła o 1,000, podczas gdy ilość narodzin zmniejszyła się o 300.

Zupełny brak możliwości zaopatrzenia się w ubranie i obuwie wpłynął ogromnie na śmiertelność wśród dzieci. Jedynie rolnicy otrzymywali kartki na obuwie i ubrania, w zamian za kontyngenty rolne. Dzieci w miastach nie otrzymywały nic.

Jeżeli dodać do tego stanu rzeczy bardzo ciężkie warunki mieszkaniowe, spowodowane zniszczeniami na skutek działań wojennych, oraz deportacje masowe z prowincji zachodnich, wtedy dopiero można zrozumieć cierpienia dzieci, które przeżyły te lata wojenne, pod okupacją niemiecką w Polsce.

Ostatnio Niemcy zaczęli deportować dzieci polskie do Niemiec do robót przymusowych, lub pobierali ich krew do transfuzji.

Tego rodzaju postępowanie pociągało przeważnie za sobą śmierć dzieci polskich.

Pomoc dla dzieci polskich

Nowy Jork (PAT). – W St. Zjedn. powstała organizacja pod nazwą Komisja Pomocy Dzieciom, która postawiła sobie za zadanie zbiórkę oraz zakupy ubrań dla dzieci w krajach europejskich.

Pierwszy transport zebranej odzieży wysłany będzie dzieciom polskim za pośrednictwem szwedzkiego Komitetu Pomocy Dzieciom. Następny transport wysłany będzie bezpośrednio do Polski, gdzie zostanie rozdzielony za pośrednictwem szkół. Ten drugi transport będzie wysłany wtedy, gdy będzie możliwość wysłania przesyłki drogą morską. Dalsze transporty wysłane będą do innych krajów.

10 kwietnia 1945 r.

Ratujmy dzieci polskie!

O dalszą pomoc dla uchodźstwa we Francji

(k.p.) Wraz z wyzwoleniem Francji powstało zagadnienie opieki nad oswobodzonymi kilkudziesięciu tysiącami uchodźców polskich i prawie półmilionową rzeszą przedwojennej polskiej emigracji zarobkowej. Zająć się trzeba było przede wszystkim grupą deportowanych w liczbie ok. 35.000. Jest to ludność w przeważającej większości chłopska, która wywieziona została z Polski przez Niemców i osadzona na farmach francuskich w półn. wschodniej Francji. Mniejszą grupę stanowili uchodźcy wojenni, przybyli do Francji po kampanii 1939 r. oraz inni, którzy napłynęli na te tereny w czasie okupacji niemieckiej. Sytuacja materialna tych ludzi była rozpaczliwa pod każdym względem: niedostateczne wyżywienie, brak lekarstw, odzieży, obuwia i innych artykułów. Potrzeby były olbrzymie, a możliwości ich zaspokojenia na terenie Francji w pierwszym momencie omal żadne. W szczególności najbardziej palący był problem zaopatrzenia dzieci, których liczba jeśli weźmiemy pod uwagę jedynie te, które najbardziej potrzebowały pomocy – dochodziła do 25.000 (w tym 15 tys. dzieci deportowanych).

Z uwagi na skromne możliwości zaopatrzenia uchodźstwa polskiego z zasobów francuskich i konieczność jak najszybszego pokrycia potrzeb – zorganizowano na terenie W. Brytanii akcję zbiórkową na rzecz Polaków we

Francji. W akcji tej biorą udział liczne organizacje społeczne brytyjskie i polskie, głównie zasłużony Polish Children Rescue Fund (Lady O'Malley, Lady Anstruther) oraz organizacje nauczycieli.

Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej jednocześnie rozpoczęło robić zakupy odzieży i żywności w Hiszpanii i Portugalii – dla Polaków we Francji.

W okresie **od listopada 1944 do kwietnia 1945** dostarczono dla uchodźców i deportowanych we Francji:

(a) **474 skrzyń i 50 bal, ogólnej wagi około 50 ton, odzieży dla mężczyzn, kobiet i dzieci – dar Kanadyjskiego Czerwonego Krzyża, uzyskany dzięki staraniom Lady O'Malley.**

(b) **10 ton odzieży zebranej w W. Brytanii przez Polish Children Rescue Fund.**

(c) **Odzież, bielizna, obuwie oraz 360 kg. czekolady łącznej wartości ponad £6,000, zakupione w Hiszpanii przez MP i OS.**

(d) **71 skrzyń odzieży, bielizny i obuwia dla mężczyzn i kobiet, łącznej wartości ponad £12,000 zakupionych przez MP i OS w Portugalii; nadto 250 kg kawy (dar Rządu Portugalskiego) oraz 2 skrzynie odzieży dziecięcej (dar p. Campbell, żony Ambasadora Brytyjskiego w Lizbonie).**

(e) **Odzież, bielizna, obuwie i koce wartości ponad £16,000 – częściowo zakupione przez MP i OS ze specjalnej akredytywy brytyjskiej, a częściowo uzyskane z darów naszych przyjaciół brytyjskich w Hiszpanii.**

W początkach stycznia 1945 r. dzięki staraniom **Lady O'Malley** Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej uzyskało możliwość przesłania samolotem dla dzieci polskich we Francji 6,000 galonów syropu różanego (rose hip syrup).

Obecnie czynione są starania o uzyskanie pozwolenia na zakup i wywóz **tranu.**

W większych skupiskach ludności polskiej w obozach uchodźczych organizuje się **szkoły i ochronki dla dzieci.** Celem zaopatrzenia tych ośrodków w pomoce szkolne zorganizowana została **z inicjatywy Stowarzyszenia Nauczycieli Polskich w W. Brytanii i z pomocą nauczycieli brytyjskich specjalna akcja zbiórkowa wśród dzieci brytyjskich.** Z akcji tej uzyskuje się nie tylko

zeszyty, ołówki i tp., ale także **paczki odzieżowe i żywnościowe od dzieci brytyjskich dla dzieci polskich we Francji.**

Skupiska uchodźcze wymagają opieki lekarskiej i środków leczniczych. W lutym br. Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wysłało do Francji **72 skrzyń lekarstw i podręcznych narzędzi lekarskich, 3,000 mydełek oraz 202,000 tabletek witaminowych (od Centralnego Polskiego Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny).**

Jedną z największych bolączek we Francji są trudności transportowe, które uniemożliwiają rozproszanie pomocy materiałowej po ośrodkach polskich. **Polish Children Rescue Fund zakupił dla PCK we Francji 5 samochodów ciężarowych,** które wyładowane odzieżą i żywnością wysłane zostały ostatnio do Francji. W ciężarówkach tych znalazły się między innymi także pewne ilości **mleka skondensowanego, kakao, jajek suszonych oraz 300 par obuwia dziecięcego (dar p. Generałowej Sikorskiej), 300 funtów miodu (dar Księżniczki Elżbiety dla dzieci polskich we Francji) oraz 10 maszyn do szycia (wypożyczone PCK we Francji przez firmę Singer).**

W niedługim czasie przewiduje się wysyłkę dalszych towarów do Francji oraz organizuje się akcję paczek od dzieci dla dzieci na większą skalę (**przy pomocy Światowego Związku Polaków z Zagranicy**).

Zaopatrzenie kulturalno-oświatowe (książki, czasopisma, materiały świetlicowe, wydawnictwa etc.) z zasobów i środków osiągalnych w W. Brytanii organizowane jest **wspólnie przez MP i OS i Światowy Związek Polaków z Zagranicy.**

Ogromne potrzeby uchodźstwa polskiego we Francji dalekie są od zaspokojenia. To, co zrobiono, to zaledwie **pierwszy i to niewielki krok, to próba załatwienia w bardzo krótkim (5 miesięcy) czasie pustki, która powstała na skutek braku interwencji UNRRA i braku utartych możliwości transportowych.** MP i OS opracowało specjalne zapotrzebowanie dla uchodźców polskich we Francji, które mają być uwzględnione przez **UNRRA** oraz osobno przez **Radę Polonii Amerykańskiej.**

Wyteżony wysiłek całej społeczności polskiej i naszych przyjaciół brytyjskich i amerykańskich w dziedzinie pomocy dla Polaków we Francji i w całej Zachodniej i Środkowej Europie jest w dalszym ciągu **niezbędny.**

26 maja 1945 r.

Do polskich dzieci na całym wolnym świecie

Wiecie, co zawsze na mnie robi największe wrażenie, kiedy czytam o tylu tysiącach, o setkach tysięcy Polaków, uwalnianych z obozów niewolniczych w Niemczech? Oto, że w tych obozach są i małe dzieci.

Dzieci - to bardzo względne słowo. Przed wojną dzieckiem nazywano nieraz takiego, który jeszcze nie zdał matury, nie skończył całego gimnazjum i liceum. Ba, i studentów uniwersytetu starsi nazywali czasem dziećmi, chociaż studenci bardzo się o to gniewali. I w ogóle całą młodzież niepełnoletnią.

Nie o takie dzieci mi chodzi. Chodzi mi o chłopców i dziewczynki, którzy mają po trzy, pięć i siedem lat i zostali wywiezieni przymusowo do Niemiec razem z matkami. I jeszcze dobrze było, jeżeli tak się stało. Bo bywało też i tak, że rozłączano matki z dziećmi, nie bacząc na rozpacz matek, na płacz i przerażenie dzieci. Robiono tak umyślnie, żeby Polaków zgnębić, żeby im dokuczyć, żeby zmarnować to, co przez całe życie jest najpiękniejsze i najświętsze dla każdego człowieka – rodzinę.

Nie mówię już o takich dzieciach starszych, mających po dwanaście po czternaście lat, o podrostkach i podlotkach, jak się powszechnie u nas mawiało, branych podczas łapanek ulicznych do robót w Niemczech. Takie dzieci pracowały, jak dorośli, a nawet więcej, bo ponad miarę, cierpiały więcej, niż dorośli, bo miały mniej od nich sił. Te dzieci przecierpiały nad miarę i stały się już prawie dorosłymi. One już się bawić z wami nie potrafią.

Wróćmy więc do waszych rówieśników, do tych najmłodszych. Jakie było w czasie niewoli w Niemczech ich życie?

Matki ciężko pracowały. Nie miały czasu czuwać nad dziećmi. Dzieci były same, wśród obcych, najczęściej popychane i bite, wyśmiewane za to, że są Polakami, nieszczęśliwe i opuszczone. W ciągu doby tylko przez krótką chwilę mogły przytulić się do matki i zyskać od niej pieśczoć. Były ciągle głodne, źle ubrane, w zimnie. Nie było komu ich uczyć, nie miały czym się bawić. Drżały ustawicznie z poniewierki wśród obcych i wrogich ludzi.

Wyobraźcie to sobie wy, którzyście mieli takie szczęście, że waszym rodzicom udało się zebrać was i wywieźć z sobą do wolnych krajów, najprzód do Francji, potem - do Wielkiej Brytanii. Którzyście nie cierpieli głodu, ani

chłodu. Którzyście mieli opiekę rodziców, jadło, odzienie, naukę i zabawę. Którym nikt nigdy nie zrobił krzywdy. Których nie katowano i nie bito i w których szanowano dzieci sprzymierzonego narodu Polaków.

Ja wiem, i dziś już cały świat wie: są między wami i tacy, którzy też doznali krzywdy, chociaż zadanej nie przez Niemców, ale przez innych wrogów. Którzy także byli wraz z rodzicami wygnani, a czasem oderwani od rodziców, pędzeni w dzikie kraje i bardzo tam męczeni. Ale do tych nie potrzeba długo mówić. Od razu mnie rozumieją.

Oni wiedzą doskonale, jak wielkim szczęściem byłoby dla nich, gdyby w dniach ich poniewierki ktokolwiek bliski mógł im dopomóc i dopomógł. Oni wiedzą, co to niedola.

Mówię do dzieci szczęśliwych. Przypominam im: są polskie dzieci, które były bardzo nieszczęśliwe, a w tej chwili jeszcze wiele im brak, aby się szczęśliwymi nazwać mogły. Jeszcze nie są pośród swoich. Jeszcze brak im domów rodzinnych. Jeszcze brak im radości i uśmiechu.

Pomyślmy razem, kochani przyjaciele: może byśmy potrafili im choć trochę życie umilić?

Pewno, że nie wrócimy im tego, co im źli ludzie zabrali. Ale przecież możemy dać im uczuć, że są na świecie ich bracia i siostry, inne polskie dzieci, które o nich myślą, które ich, jak swoich kochają i które chcą im dopomóc, tak, jak potrafią! Jak to zrobić?

Zdaje mi się, że bardzo po prostu. Mam parę lalek, oddam jedną do Niemiec dla polskich dzieci, które jeszcze wrócić do kraju nie mogą. Mam pudełko żołnierzy, mam piłki, czy inne zabawki – dam je lub przynajmniej podzielę się nimi z tymi, co nie mają nic, a jeszcze niedawno nie mieli nawet nadziei, żeby kiedykolwiek wolno im było co posiadać.

Mam wiele ubranek. Sam nimi nie rozporządzam, ale może poproszę rodziców: niech które z nich pozwolą oddać polskim dzieciom w Niemczech. Ja pewny jestem, że wasi rodzice pozwolą. Albo mam sporo książeczek. Tych szczególnie potrzeba. Dam, ile zdołam.

To wszystko razem trzeba przesyłać do Polskiego Czerwonego Krzyża (Londyn, 34, Belgrave Square SW1.), bo stamtąd idą paczki do obozów polskich w Niemczech. Zdaje mi się, że byłoby ładnie, gdyby wyszło też kilka

przynajmniej paczek: „Od polskich dzieci dla polskich dzieci”. Nie wiem, jak wy: ja, gdybym nie miał tylu lat, ile mam, i gdybym miał do tego prawo, to zająłbym się taką zbiórką. To byłoby dobrze i jak się należy. Jak na młodych Polaków przystało. A może wezmą to na siebie harcerze? Czy może być piękniejszy „dobry uczynek”.

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

10 grudnia 1945 r.

Dzieci dźwigają krzyż

(K.R.) Według miarodajnych obliczeń władz polskich w latach 1939-1941 deportowanych zostało do Rosji około 140 tysięcy dzieci polskich. Według tych samych obliczeń około 40 tysięcy zmarło. Z pośród pozostałych niewiele ponad 15 tysięcy opuściło Rosję w latach 1942/43 i znajduje się w tej chwili we wszystkich częściach świata. Reszta, a więc około 85 tysięcy znajduje się zapewne jeszcze w Rosji.

Wskazaniem na te cyfry kończy Irena Wasilewska swą książkę pt. „*Za winy niepopelnione*” (Rzym, 1945, str. 94). „Prawdziwymi autorami” tej książeczki, są jak pisze jej redaktorka „dzieci polskie, których opowiadania, listy i pamiętniki wypełniają jej karty.” Książka jest tedy „raczej dokumentem i nie chce być niczym więcej”. Pani Irena Wasilewska była sędzią sądu okręgowego w jednym z miast Wschodniej Małopolski. Została deportowana w lutym 1940 r., i po „karjerze w sowchozie” poświęciła się w lecie 1941 r., pracy społecznej w Biurze Opieki nad Polakami. Powierzono jej dział opieki nad dziećmi. Prowadziła więc obszerną korespondencję z dziećmi, rozsianymi po całej Rosji, odwiedzała sierocińce, posyłała książki dzieciom, „troszczyła się o nie tak, jak pozwalały warunki i jak umiała.” Zebrała ogromny materiał, dotyczący zagadnienia zesłanych dzieci w Rosji. W ten sposób powstała dokumentacja do której – jak pisze p. W. – „nie dodałam niczego, niczego nie ujęłam. Chodziło mi o to, aby dzieci same mówiły o sobie, własnym stylem i językiem.”

Jak pisać o tej książce i zawartej w niej treści? Odpowiedzi na to pytanie towarzyszy uczucie rozpaczliwej bezradności. Tymbardziej, że treści tej nie dostarczyła najbardziej fantastyczna imaginacja, ale najpospolitsza rzeczywistość, przeżyta w połowie 20-go wieku! Właściwie należałoby tę książkę przepisać całą, przetłumaczyć na wszystkie języki ludzkie, a do recenzji

jej wezwać prokuratorów i sędziów całego świata. A gdy wiemy, że słowa te mają dziś wagę przysłowiowego głosu na ludzkiej pustyni, więc pragnęlibyśmy, aby na tej książce skupiło się zamyślenie twórców, nowych Mickiewiczów, Żeromskich i Kasprowiczów, Grottgerów i Jacków Malczewskich, Chopinów i Karłowiczów.

Nie ma ich dzisiaj. Więc niechaj dzieci polskie najprostszym językiem najbardziej zdumiewającej prawdy same wznoszą jej pomnik a także swojej boleści i swojego gniewu, niechaj one dźwigają krzyż, tak, jak na obrazie Grottgera w śnieżnej puszczy Sybiru dźwigali go dorośli.

Na „Początku Wielkiej Drogi” była pieśń. Malutka wówczas Danusia przypomina sobie we wspomnieniach, że N.K.W.D spędziwszy do wagonu zesańców, zaśrubowało okienka, aby uniemożliwić podawanie żywności odjeżdżającym. W okropnej ciemności – pisze – zdawało się, że się podusimy. Słysząc było płacz kobiet, dzieci, śpiewanie pobożnych pieśni, błaganie, by Bóg szczęśliwie wiódł tułaczkę i wrócił z powrotem do ojczyzny. Gdy pociąg ruszył – słowa modlitwy, śpiew i płacz zlały się w jeden donośny krzyk rozpacz. 10-letni wtedy Staś także płakał, ale – usprawiedliwia się – „byłem jeszcze dzieckiem”. Uspokajała mnie mama - pisze – mówiąc, że nie wypada Polakom płakać.

Tak rozpoczęła się „Wielka Droga”, na której – skarżą się dzieci – widzieliśmy na każdym kroku tylko milicję i nastawione ku nam karabiny. Ale nie tylko to widziały. Ujrzały, jak z ust jednej z kobiet buchała krew i obryzgiwała leżące obok niej dzieci, koszyk z jedzeniem i inne rzeczy. Na następnej stacji wyniesiono już trupa tej kobiety, „a dzieci wobec braku wody umyliśmy dopiero po upływie półtorej doby.”

Wody podczas jazdy wogóle nie dawano, ceber brudnej cieczy z rowu był „ogromnym skarbem”, pojawiły się wszy, ludzie nie rozbierali się tygodniami, dzieci umierały nagle na zapalenie opon mózgowych, odrę i szkarlatynę. 10-letnia Zosia przypomina sobie, jak znajomej pani umarło dziecko jedyne. „Wielka była zgroza, kiedy przyszli strażnicy, wzięli to dziecko owinięte w prześcieradło, wyrzucili je na dwór i zatrzasnęli drzwi wagonu”, gdy później umarła 8-letnia Alusia i jej starsza siostrzyczka, to – pisze Elżunia – weszli do wagonu dwaj bojcy, gwałtem zabrali matce ciała zmarłych i wyrzucili w czasie biegu pociągu.

A potem przyszła tajga. Harcerz Józio miał wtedy lat 11-cie, piłował i rąbał drzewo, a w wolnych od pracy chwilach „biegał po lesie, aby zapomnieć o

głodzie”. Mamusia bowiem mówiła: „Jesteś harcerzem, musisz walczyć z głodem”, potem płakała, ale tłumaczyła Józiowi, że to z bólu głowy, strażnicy zaś „pocieszali nas słowami: przyzwyczaisz się, a jak nie to zdechniesz”.

Stasia miała 11 lat na Sybirze, była córką gospodarza z Białostockiego i opowiada, jak na Sybirze ojciec chorował na cynkę, potem zabrano go chorego na tyfus, w maju 1941 roku umarła z wycieńczenia matka, potem niemowlę Edzio, najstarszy brat Karol w „ciężkiej pracy”, potem 4-letni Antoś, 9-letnia Emilka i młodsza Jańcia. Cała rodzina. „Tylko ja z Zosią dojechałyśmy do Persji”.

A matka Irenki umarła tak. Na wiosnę wydobyła z kuferka ostatnie „naprawdę ostatnie rzeczy i poszła je na kołchozy wymieniać, myślała, że może mąki dostanie”. Mała Sabinka wołała bowiem ciągle: „Mamo, ja chcę chlebka”. Matka nie wracała do wieczora. Irenka pobiegła w step szukać matki. Spotkany kozak powiedział Irence, że przy drodze w stepie leży jakaś kobieta. „Pobiegłam ile sił w kierunku, który mi wskazał i zobaczyłam, że ktoś leży na ziemi i ma na sobie kratkowaną chustę mamy. Poznałam, że to mamusia. Zaczęłam ją szarpać, wołać, prosić, aby się odezwała – ale wciąż milczała. Z rąk jej wysunął się woreczek z mąką. Wtedy ogarnął mnie starch. Pobiegłam do sowchozu do zarządzającego, aby dał konia, bo tam w stepie leży moja mamusia i trzeba ją ratować. Zarządzający powiedział, że to może wcale nie moja matka i że nie będzie konia gnać po nocy bez potrzeby. Pobiegłam wtedy do sąsiadów Polaków. Poszli ze mną w step i powiedzieli, że mamusia nie żyje... Pochowaliśmy mamusię. Prosililiśmy zarządzającego, aby dał nam choć parę desek na trumnę. Odmówił jednak, mówiąc, że nie ma i żebyśmy sobie chowali mamusię jak chcemy. Pochowaliśmy na małym kozackim cmentarzyku w prześcieradle. A Sabinka nie rozumiała naszego nieszczęścia, miała tylko 4 lata i znów płakała, że chce chlebka.”

Marysia, córka lekarza ze Lwowa, miała 14 lat, gdy wraz z innymi harcerkami zesłana została do „kolonii dla nieletnich”. „Storodubskaja trudowoja isprawitielnaja kolonia.” Kolonia liczyła 500 więźniarek, Polek było 26, w wieku od 14 do 18 lat. Rozmieszczono je między „sowietkami”, nieraz na tej samej pryczy. Wśród „sowielek” były prostytutki, złodziejki, morderczynie, typy zboczone, chore na syfisy („a myśmy spały, kąpały się i jadły razem”), niektóre z nich 12-letnie. Wszystkie były wytatuowane jak parawan chiński. Na rękach i na plecach miały nieprzyzwoite słowa, na policzkach inicjały kochanków. Jedna miała na lewym ramieniu wytatuowane „Stalin”, na prawym

„Lenin”, a na piersiach skomplikowany rysunek gołębi. Wiele z nich miało na policzkach nacięcia nożem w kształcie wachlarza. „Kochanek podpisał” mówiły. Oznaczało to, że wziął je na własność. Miały starszy wygląd, były owrzodzone, obrzękłe, jedna nie miała zupełnie czoła. Rozpijały się wodą kolońską i płynem do włosów. Wiele z nich było lesbijkami, wiele zostawało kochankami „wospitatielej” (wychowawców). Najstraszniejsza była Anna Gusiewa, lat 17, kochanka herszta bandy złodziejskiej, skazana za duszenie dzieci. Do Związku Sowieckiego nastrojone były bardzo lojalnie. Naczelnicy podkreślali nam zawsze, iż pod względem „narodowo-patriotycznym” są bardzo zdrowe. „Wszystko to razem – pisze Marysia – doprowadzało nas do krańcowej rozpacz, łez i zdenerwowania.”

Ta sama Marysia opowiada, jak kierownik „politczasti” Iwan Iwanowicz Pyzin postanowił „pieriewospitat” (reedukować) harcerki polskie „na czestnych grażdan Sowieckiego Sojuza”. Tłumaczył więc, że język polski jako taki nie istnieje i jest gwarą, pochodzącą z języka białoruskiego. Zmuszano dziewczęta do uczestnictwa w różnych imprezach agitacyjnych. Przekonywano, że Polska „geograficzeskaja nowost”, zlepek narodów białoruskiego, ukraińskiego i niemieckiego – przestała istnieć. „I wy myślicie, że Polska jest i będzie?” „To były tortury. Nie mogłam milczeć. Nie wytrzymałyśmy, prawie płacząc, zaczęłyśmy wołać, że kłamię, bezczelnie kłamię. Od tej chwili zaczęto nas śledzić.” Roja Chrypun z Sarałowa, skazana na 6 lat za rozbieranie dzieci na ulicy i sprzedaż ich ubranek, otrzymała polecenie szpiegowania nas.

Przerwijmy ten chorał dzieci polskich, dźwigający krzyż. Przytoczyliśmy tu zaledwie jedną jego zwrotkę. Jego Inferno rozżagwia się pożarem na każdej stronie tych dokumentów; w sowieckich „Diet-domach”; w listach dzieci żebrzących o pomoc, o zabranie ich do Polski; w polskich sierocińcach; nad tajemniczą rzeką Amu-Daria; w Karakałpaskiej republice; w Bucharze; w obłędzie dziewczynki, co bez ustanku powtarza: „mnie wywieźli, mamę wywieźli, tatusia wywieźli, wszyscy zginiemy” i która wszędzie widzi N.K.W.D.; w testamencie 14-letniego Marjana, który umierając, mówi do braciszka 13-letniego Wicka: „Jak to dobrze, że zobaczyłem cię przed śmiercią... zabierz wszystkie moje rzeczy, bo mnie już niepotrzebne...”

Powiedzmy tylko jedno: te dzieci są święte, są wielkie, są wspaniałe w swojej polskości. One walczą na każdym kroku, zuchwale buntują się przeciw krzywdzie i zagładzie, są odważne, są bezwzględne w swoim prawie do wolnej

Ojczyzny. Są wierne. Są polskie. Gdy po ciężkiej pracy wracają ze stepu, gdy idą z kosami na ramieniu wśród wielkiej ulewy, prowadzi je pieśń olbrzymia ojców: „Czy przyjdzie nam zginąć wśród boju, czy w tajgach Sybiru nam zgnić, z trudu naszego i znoju Polska powstanie, by żyć.”

Zamykamy tę księgę z uczuciem dumy najwyższej, ale przede wszystkim z uczuciem boleści niewymownej. Myślimy o Ojczyźnie. Chcemy się modlić: „...I odpuść nam nasze winy, tak jako i my odpuszczamy naszym winowajcom.” Te dzieci cierpiały i cierpią „za winy niepopołnione”. Więc jakże nam się modlić o odpuszczenie win naszym winowajcom.”

KONIEC